

– Dziadunio się spalił – powiedział mężczyzna, który stał obok. – Mamo, odpocznijmy – zwrócił się do kobiety siedzącej na wozie i pomógł jej zejść. – Kiedy zaczęło się to piekło – mówił dalej – załadowaliśmy w pośpiechu na wóz, co było pod ręką. Wsiadła też zona z dziećmi i matula, a dziadek nie chciał – mężczyzna nie mógł mówić, gardło ścisnęło mu wielki żal, a do oczu napływały łzy. – Nie chciał wsiąść, prosiliśmy, błagaliśmy. Powiedział, że za stary i że nie zostawi domu, który własnymi rękami stawiał. Odjechaliśmy tylko kawałek. Wokół było coraz więcej Niemców. Przyjeżdżali ciężarówkami samochodami. Nagle zauważył się palić sąsiedni dom, a od niego w jednej chwili zajął się słomiany dach na naszym. Buchnęło, jak podpalona wiecha. Podbiegłem, ale drzwi już się paliły. Taki był żar, że nie mogłem podejść. Po chwili drewniany strop zawalił się do środka, a dziadek... – mężczyzna odwrócił się i odszedł, kryjąc twarz w rękach.

Następnego dnia, widząc wciąż narastający exodus, wiele Żelówian wpadło w panikę. Wyjeżdżali. Byli dalek od osady, w której obawiali się bombardowania. Wielu też szło piechotą – po prostu przed siebie.

Państwo Figurowie mieszkali razem z trójkiem dzieci przy końcu ulicy Kościuszki. Pan Adam Figura prowadził gospodarstwo rolne, które nie przynosiło dużych profitów, ale narzekać też nie było można. Jego zona Marianna była dziewczarką, pracowała od wielu lat w fabryce Żyda, Dawida Kopla. Byli szczęśliwą, zwykłą rodziną, która tak jak wszyscy dookoła miała swoje problemy i zmartwienia, zwłaszcza od kiedy zaczęła się wojna.

– Nie ma na co czekać! Zaraz tu będą i nas spalić! Idziemy! Tobońki już od piątku gotowe – powiedział Adam Figura.
– I dokąd pójdziemy? – spytała męża pani Marianna.

– Albo ja wiem. Wszysey na Brzeziny ciągną, a może dalej, na Warszawę. Pomaga i śmierć dwadzieścia kilometrów od nas, nie ma rady. Meble zostawiamy. Zakopimy w ogrodzie i przykryjemy naciętymi krzakami. Koło gminy rozdają te maski, co to od gazu mają chronić, to je po drodze weźmiemy.

Ruszyli ulicą Kościuszki w kierunku Rynku, tam dołączyli do szeregu tych, którzy jechali przez Żelówek do szosy łączącej Łask z Piotrkowem.

Adam Wejman stał przed swoim domem i ze smutkiem przyglądał się wyjeżdżającym. Coraz częściej nachodziła go myśl, czy dobrze robi, zostając. Tu chodzi nie tylko o niego, ale przede wszystkim o jego rodzinę. Niemcy bombardują i palą co większe skupiska ludzkie. A co, jak teraz przyjdzie kolej na Żelów? Obójtnie, w którą by jechali stronę, to po drodze są lasy. Można się tam ukryć. W tej chwili dojrzał znajome osoby.

– Figura! – krzyknął Wejman rozpoznawszy kolegę.

Wołany mężczyzna odwrócił się i podszedł do niego.

– Wy nie uciekacie? – spytał.

– A wy, dokąd idziecie?

– Uciekamy stąd. Był dalek. Tu lada dzień mogą być Niemcy. Zobacz, co się porobiło.

Wejman tylko głową kiwnął, odszedł szybko i wszedł do mieszkania.

– Wyjeżdżamy – oznajmił rodzinie. – Pakujcie na wóz tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Zdziechowscy jadą z nami.

Rodzina Figurów poszła dalej. Zbliżali się do Zabłot, ale z powodu tłumy uchodźców szli teraz tak wolno, że dopiero po południu zobaczyli pełną uciekinierów szosę Łaskowską. Ludzi, koni i wozów było tak dużo, że zajmowali całą drogę i jej pobocza. Jadący wozami zsiadali z nich i pieszo próbowali dostać się do przodu, aby rozrznąć się w sytuacji. Obok Figurów przeszedł żołnierz niosący karabin maszynowy.

- No, jak Niemce zobaczą, że do nich strzelają z tego kulomiotu, to dopiero tu jatkę zrobią - powiedział Figura. - Przecież oni nas tu wszystkich wystrzelają! Mieliśmy być bezpieczniejsi, a tu.... Wracamy do domu - postanowił.

W tej chwili usłyszeli nadlatujące samoloty. Leciły nisko nad szosą, strzelając do znajdujących się na niej ludzi. Wokół zapanał chaos. Wozy wjeżdżały jeden na drugi. Konie stawały dęba. Ludzie krzyczeli. Biegli w kierunku lasu. Chowali się do rowów. Nie wszyscy jednak zdołali uciec. Starsza kobieta, którą widzieli wcześniej z daleka, zginęła pod kołami rozpędzonego wozu. Wysokiego, przystojnego mężczyznę, którego stracił konia, rodzina próbowała odciągnąć na pobocze. Dwoje młodych ludzi leżało rannych na trawie, obok drogi. Patrzyli na siebie smutno, dotykając delikatnie swoich twarzy. Ich pokrwawione ciała i poszarpane ubrania wskazywały na poważne obrażenia. Tuż obok klęczał mężczyzna w garniturze. Trzymając na rękach martwe ciało małego chłopca, kiwał się w przód i w tył, jakby chciał, aby ten zasnął. Po chwili samoloty zrobiły nawrót i ponownie zaatakowały. Ostrzał był celny. Kule przeszły ciała. Przerazeni ludzie biegali w popłochu i kryli się, gdzie tylko mogli.

- Szybko! W bruzdy! W kartoflisko! Nie wychylajcie się! - krzyczał Figura do rodziny.

Leżeli twarzą do ziemi i modlili się. Samoloty na chwilę odleciały. Mężczyzna znów dał sygnał.

- Teraz! Biegniemy!

- Tata! - krzyknęła przerażona córka Marysia.

Ojciec złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Do rowu! - krzyknął.

Czołgając się, dotarli do pierwszych zabudowań. Nieprzyjacieł odleciał, ale pozostawił po sobie śmierć i zniszczenia. Na szosie i wokół niej leżały powywracane wozy, martwe konie, rozrzucone w nieładzie ubrania i pootwierane walizy. Między tym bałaganem martwe ciała tych, którzy nie zdołali się ukryć. Przy kobiecie

leżącej w kałuży krwi płakało niemowlę. Patrzyła na nie otwartymi, martwymi oczami, nie mogąc pocieszyć, przytulić do piersi i nakarmić.

Kiedy Figurowie wrócili do domu, było już ciemno. W Zelowie panował spokój. Tylko nad horyzontem widoczna była łuna palącego się Szczercowa.

Piątego września rano był mglisty. Mgła wyglądała jak dym. Snła się między domostwami i pustymi ulicami. Dalej, poza zabudowaniami była tak gęsta, że na krok nie można było zobaczyć. Wtem z mlecznych oparów dało się usłyszeć szmer jakiś. Pojedyncze ludzkie głosy i rżenie koni zbliżały się ze wszystkich stron. Z tego z wolna narastającego zgiełku zaczęły wylinać się zarysy ludzkich postaci, koni i ciągniętego przez nie na wozach dobytku. Pośród wozami rozróżnić można było konnych jeźdźców w polskich mundurach, w hełmach i z karabinami na plecach. Wojsko polskie, żołnierze.

Z początku jechali pojedynczo i po kilku. Wkrótce pojawiły się wozy wylądowane rannymi, a przy nich piechota. Szło w bezładzie pomiędzy taborami mieszając się z ludnością cywilną. Mieszkańcy osady wyszli z domów. Niektórzy patrzyli bez słowa na przejeżdżających i przechodzących ludzi, ale większość niosła im herbatę, kawę zbożową i suchary. Widząc tylu rannych, zaczęto podawać czyste prześcieradła i szmaty. Do dziewczynki trzymającej w rękach chleb podjechał żołnierz na koniu. Miał rozpruty rękaw munduru i brudne od zaschniętego błota buty. Nachylił się i wyciągnął przed siebie sztabkę szarego mydła.

- Zamienimy się? - spytał cichym głosem.

Dziewczyna stała jak zaczarowana. Patrzyła w ciemne, smutne oczy kawalerzysty.

- Nie bój się, mama nie będzie krzyczeć.

Wyciągnęła rękę i podała jeszcze ciepły bochenek głodnemu żołnierzowi.

– Hóg ci zapłać, dziecko – podał mydło, ściągnął cugle i powoli odjechał.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął we mgle.

Następnego dnia wezwanie rano na ulicy Śmigłego-Rydza pojawiły się wozy jadące od strony Bełchatowa. Wracało wielu Żelazian, którzy szukali, lecz nie znaleźli bezpiecznego miejsca dla swych rodzin.

– Do Żelowa, jak do Mekki jadą – powiedział Wejman do rodziny. – Już piąty dzień trwa ta wędrówka ludów.

Maria kiwnęła głową, przyznając mężowi słuszność i dodała:

– Jedni tylko przejeżdżają, inni zostają. Chwała Bogu, że my szczęśliwie wróciliśmy.

Pan Adam przełknął ślinę.

– W imię Ojca i Syna. Już jak mamy ginąć, to we własnym domu.

Naprzeciw domu Wejmanów stała grupa ludzi, którzy przygotowali w tym miejscu punkt sanitarny i żywnościowy dla wojska i cywilów.

– Tato! Tato! Patrz, Janeczka! Wejmanowie wrócili – krzyknęła do ojca Lucynka Ulańska, machając ręką do koleżanki i jej braci – Zygmunta i Szczepana.

Ulański nalał herbaty do dzbanka.

– Idź, zanieś im – powiedział do córki.

W tej samej chwili podjechał do niego żołnierz.

– Witaj, Władek – powiedział.

Ulański spojrzał z niedowierzaniem na mężczyznę.

– Janek? Ile to już lat się nie widzieliśmy?

– A no sporo, sporo. Ostatnio wtedy, jak z Hallerem o Polskę wojowaliśmy – mężczyzna uśmiechnął się serdecznie.

Władysław przytrzymał konia za uddę.

– Zsiadaj, odpocznij – podał przyjacielowi herbatę i kromkę chleba z masłem.

Mężczyzna podziękował i zaczął szybko jeść.

– Niewesoło, co? – powiedział do gospodarza.

Ulański odczekał, aż przyjaciel posili się i spytał:

– Skąd jedziecie? Dokąd? Powiedz choć ty coś, bo tu nikt nie wie.

– To tak, jak my – żołnierz uśmiechnął się smutno. – Byliśmy w 30 Poleskiej Dywizji Piechoty pod dowództwem generała Leopolda Cehaka. My głównie w rozpoznaniu. Zresztą to wokoło nasze Dywizje, choćby 2 Dywizja Piechoty Legionów generała Dindorfa-Ankowicza... czy 3 Pułk Piechoty Legionów Józefa Berka, który tu stacjonował, Żelów – Buczek – Częstków. Niedaleko stąd była linia obrony, Faustynów, Lubiec, Szczerców i dalej na linii Widawki... I pociąg pancerny był. Kilka razy starliśmy się z Niemcami, ale oni mają więcej ciężkiego sprzętu. Znacznie więcej... Transportery, samoloty, motory. Próbowali zrobić „kocioł” i w nocy musieliśmy się wycofać. Zobacz tu naszych ciągniki i to nie tylko przez Żelów. Teraz idziemy na Dłutów i Brzeziny. Tam poczekamy na nowe rozkazy i dołączymy do naszej armii – zamilkł, a po chwili dodał: – Próbowaliśmy Władek, nie daliśmy rady, ale to jeszcze nie koniec. Przegrupujemy się i damy popalić tym... – żołnierz zacisnął pięść, wyrażając nią w powietrzu, po czym kontynuował swoją opowieść. – Dwa dni temu pod Walewicami widziałem, jak zestrzelili nasz samolot. Akurat byliśmy na zwiadowie. Przycupnęliśmy przy krzakach tarniny, a Niemcy co jakiś czas strzelali z haubic, penetrując okolicę, czy aby większych grup wojska nie da się wytopić. Naszych w tej okolicy akurat nie było, ale nagle usłyszeliśmy nadlatujące samoloty. Na jednym z nich polskie znaki. To były myśliwce. Pojawiły się z wielkim hałasem niewiadomo skąd. Nasz już trochę dymił. Z silnika mu ogień szedł, a dwa niemieckie go goniły, co nasz zauważył, to one za nim i strzelały do niego, całe serie szły. On w górę, one za nim, i tak ganiały naszego nad polami, jak psy zapasa. W końcu nasz wleciał dość wysoko i jeden lotnik na spadochronie skoczył. Później samolot zaczął się już porządnie

palie i spadać, takim ślizgiem. Wyskoczył drugi lotnik, do niego Niemiec strzelał z samolotu. Chyba go trafił, bo spadochron mu się nie otworzył i zleciał w dół, jak bomba. Spadł na drzewa. Samolot uderzył w ziemię. Zarył się w pole niedaleko nas. Cały czas się palił, a szczątki iskrzyły się, jak zimne ognie. Wielki dym szedł, ale widać było, że trzeci lotnik starał się wydostać. Tamten, co wyskoczył pierwszy, wylądował w tym czasie i coś do niego krzyczał, pewnie żeby uciekał. Nie zdążył do niego dobiec, bo jak grzmotnęło, to rozzerwało samolot na tyle kawałków, że później znaleźliśmy je ze sto metrów od tego miejsca. Ciekawe tylko, że jedna bomba, co ją przewoził, nie wybuchła. Leżała obok resztek samolotu. W kształcie gruszki była. Tak z metr miała. Leżała akurat przy grunicy, to ją podkopaliśmy, żeby delikatnie do rowu się zeslizgnęła i zasypaliśmy, żeby nie przeszkadzała, jak kto będzie pole obrabiał. Tamtejsi ludzie wiedzą gdzie, to będą uważać. A przyjdzie czas, to wezwą saperów i zrobią z nią, co trzeba – zamysłili się i rozejrzeli dookoła.

Dopiero teraz zauważył, że wokół niego zebrało się wielu dorosłych i dzieci, którzy z zapartym tchem słuchali jego opowieści.

– No, cóż. Czas na mnie – wstał i zaczął przygotowywać się do dalszej drogi.

W końcu pożegnał się i odjechał.



"Zdobycie wroblewa"
1949



Zdobycie polny.



Wojsko polskie przed wymarszem z Żelazna

Po kilku godzinach na żelowskich ulicach zapanał względny spokój. Już tylko niedobitki, goniący tych, którzy przeszli wcześniej, zbierali się i wyjeżdżali z podwórek i placów. Około południa niemal opustoszało. Ludzie rozeszli się do domów, aby odpocząć.

Dawid odwiedził Franka tuż przed obiadem.

– Przepraszam – powiedział, wchodząc. – Dawno nie byłem, ale widzisz, co się dzieje. Cały czas od rana do wieczora biegam. Mamy wiele punktów na ulicach przygotowanych z wodą i środkami opatrunkowymi. Wydajemy maski przeciwgazowe i jedzenie dla uchodźców. Teraz przez chwilę spokój, ale za godzinę, czy dwie...

Franek siedział na łóżku oparty o ścianę.

– Chwile usiadłem – odpowiedział zdenerwowany – ale prawie cały czas przy oknie stoje, aż mnie ręce bolą od tych kul... i radia też słucham – dodał, prawie krzycząc.

Dawid spojrzał na kolegę i udając pozorny spokój, powiedział:

– To pewnie wiesz, że wczoraj zaczęła się w Warszawie ewakuacja centralnych instytucji państwowych?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Chłopcy patrzyli na siebie, rozważając w myślach dalszy tok rozmowy. W końcu Franek poklepał się ręką po gipsie i powiedział:

– Nie mogę się już doczekać, jak mi to cholerstwo zdejmą – wołał nie komentować przekazanej przez przyjaciela wiadomości.

Dawid również zmienił temat rozmowy.

– Nie wiesz, co u Zenka i u twojego tate?

– Nie, nie wiem i o moim ojcu też nie. Nie wiemy nawet, gdzie jest.

– Muszę już wracać do pracy – podał rękę na pożegnanie, a stojąc już w progu, dodał: – Od żołnierzy, którzy przez Żelów przechodzą wiemy, że nasze wojsko idzie na Warszawę i tam mają się bronić.

Zbiegł po schodach i już po chwili podążył w kierunku bramy wychodzącej w stronę Rynku.



Żelowski Rynek – 1939 r.

Na placu nie było wielu ludzi. Więcej na podwórkach, skąd dobiegały ludzkie głosy i ujadanie psów.

– Dawno nie było tak normalnie – przeszło mu przez myśl.

Nie trwało to długo. Ostatnią sielską chwilę przerwał warkot jadącego motocykla. Motor wyjechał z ulicy Kościuszki – na nim dwóch uzbrojonych, niemieckich żołnierzy w mundurach i w hełmach. Do hucznego wózka, po prawej stronie motoru, przymocowany był karabin maszynowy. Ten nagły widok zelektryzował Dawida. Przyłgął do ściągniętego budynku.

– Niemcy! – wyszeptał.

Żołnierze dwukrotnie objechali Rynek dookoła i zatrzymali się obok pomnika. Niemiec siedzący w koszu trzymał rękę na spuście RKM-u, bacznie obserwując wejścia do bram i okna kamienic. Po kilku minutach ruszyli ulicą Kilińskiego w kierunku Żelówka.

– Niemcy w Żelowie! – wiadomość rozeszła się po osadzie łotem błyskawicy.

Po godzinie na plac przy pomniku wjechały samochody ciężarowe i wozy pancerne, pełne uzbrojonych po zęby Niemców. Wjeżdżały niemal z każdej strony: od Maurycowa i od Szczercowa, od Ignacowa i Bocianichy. Zatrzymały się na głównych ulicach i placach. Przy szkole nr 1 założyli kuchnię polową, a w ogrodzie, przy domu Kosika na Kilińskiego 26 – kuchnię i sztab. Tuż za wojskiem wjechały niemieckie samochody osobowe z dowództwem Wehrmachtu⁷⁰ i osobami, które miały za zadanie podjęcie natychmiastowych działań w kierunku przejmowania i administrowania zdobytymi terenami. Jedna z ciężarówek podjechała tuż pod budynek gminy. Na dach szoferki wskoczył Niemiec z łotem w rękach. Uderzył mocno w godło państwa polskiego. Spadło z hukiem na ziemię przy aplauzie stojących obok żołnierzy.

Większość obywateli Żelowa wyszło na ulice lub przyglądało się najeźdźcom przez okna. Byli też tacy, którzy cieszyli się z wjazdu rodaków.

– Jezus Maria! Przecież to Dalke – powiedział pan Józef Pejga do żony, kiedy zobaczył idącego w ich kierunku sąsieda ubranego w niemiecki, żółtobrunatny mundur NSDAP-owca⁷¹.

Niemiec podszedł do Pejgów stojących przed bramą wjazdową do ich domu i z miną niezwykle poważną powiedział:

– Przystąp do nas, Józek. Ta wojna długo nie potrwa. Na nas nie ma mocnych. Wystarczy, że przejdziecie na naszą stronę, a nie wam się nie stanie, a tak... To nie wiadomo.

⁷⁰ Wehrmacht – całość sił zbrojnych III Rzeszy niemieckiej z wyłączeniem Waffen-SS.

⁷¹ NSDAP – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników.

Pan Józef zmarszczył brwi i spojrzał na Dalkego.

– Grozisz mi? Nie po to mój syn o Polskę walczy, żebym ja teraz miał się wam wystugiwać. A, ty?... tyle lat tu żyjesz... zresztą – machnął ręką – każdy niech we własnym sumieniu to rozważy.

Wolał ostrzeż nie traktować rozmówcy. Wewnętrzny głos podpowiadał mu: „Lepiej ostrożnie, myślałeś, że go znasz, a jednak...”.

Dalke nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł.

Żelów został zdobyty bez jednego wyszczepu, bez jakiegokolwiek formy agresywnego sprzeciwu. Niektórzy mieszkańcy osady cieszyli się z tego, inni wierzyli, że to nie koniec, że wojna się toczy i jeszcze wszystko jest możliwe. Walczą o to ich bliscy. Walczą o nich, o wypędzenie z kraju agresora, walczą o Polskę. Po dwugodzinnym postoju regularne wojsko Wehrmachtu pojechało dalej.

– Ale się śpieszą, jeden sygnał i w pięć minut gotowi. Trzeba przyznać, że karne wojsko – powiedział Ulański.

– Naszych gonią, Hitler syny jedno. Szkopy – odpowiedział Wejman.

– Ci pojechali, ale za nimi przyjdą inni – dodał stojący razem z sąsiadami Franciszek Pruszek. – Widziałem to już. Kawał światła się przeszło i przejechało.

– Tak, masz rację – dodał Władek – też to widziałem.

W kolejnych dniach pojawiali się nowi, niemieccy administratorzy gminy. Rozlokowali się w miejscach wskazanych przez niektórych, lojalnych wobec III Rzeszy, obywateli Żelowa. Nazwiska osób do przekwaterowania widniały na gotowych listach. Nieliczni, pozostali w Żelowie żołnierze Wehrmachtu, zajęli dom przy końcu ulicy Marszałka Śmigłego-Rydza 84, czyli przy dawnej Piotrkowskiej oraz przy ulicy Poznańskiej, tuż za ulicą Piłsudskiego.



Oddział niemieckich żołnierzy

Następnego dnia przejęli urząd gminy i posterunek policji. Rządy rozpoczęli od pozbycia się niektórych urzędników.

Dawid wrócił do domu przygnębiony. Usiadł w zakładzie ojca. Nie odzywał się. Salomon patrzył na niego i czekał, aż syn sam powie, co się stało.

– Wyrzucili z pracy kilku Polaków i wszystkich Żydów – powiedział w końcu, nie patrząc na ojca. – Pozostawili głównie tych pochodzenia niemieckiego i czeskiego – dodał.

– Aby tylko gorzej nie było – ojciec poklepał go po ramieniu. – Zobacz. Mamy co jeść i gdzie spać. Miriam już ponad pół roku, jak nie choruje. Bogu dziękować za to, co teraz mamy. Nu, nie martw się. Znajdziesz ty jakąś robotę.

Kolejnym krokiem Niemców było odtworzenie dokumentacji dotyczącej mieszkańców gminy. Stare dokumenty zostały ukryte lub zniszczone przez polskie władze, rozpoczęto więc sporządzanie nowej listy adresowej Żydów i Polaków zamieszkujących ten

teren. Ogłoszono, że każdy Polak i każdy Żyd ma obowiązek stawić się na wezwanie władz niemieckich w celu podjęcia prac porządkowych oraz wykonywania innych poleceń.

Okupanci sprawnie przejmowali urzędy i ważne, z punktu widzenia zarządzania zasobami ludzkimi i materialnymi, instytucje państwowe. W Żelowie dowodził tą akcją Rosenberg. Na Kościuszki, pod numerem 16, utworzono Schutzpolizei (Schupo), czyli policję prewencyjną. Dowódcą został Willy Rapsch, który zamieszkał w drewnianej plebanii, przy kościele rzymskokatolickim.



Członkowie NSDAP w Żelowie

Dom Leona Kosika, przy Kilińskiego 26 zajął Ferdynand Kraichwill – Reichsdeutsch, czyli Niemiec pochodzący z terenów Rzeszy. Kierował on w Żelowie oddziałem Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP). Tę nazistow-

ską organizację ulokowano w Ryńku pod nr 12. W jego drugim domu, przy ul. Śmiełkiewicza 1, Niemcy utworzyli Gendarmerie – tzw. wiejską, z dowódcą Oskarem Kube, wachmistrzem. W budynku pozostawiono aptekę, którą nadal zarządzał Józef Radzi-szewski. Nad apteką zamieszkał niemiecki lekarz, Niemkowi-cz.

prawidłowe nazwisko: Dr Med. Otto Nymyłowitsch - Praktizier Arzt



Zezwolenie dowodowej gendarmerii na postawienie motocykla.
Błąd! To jest zawiadomienie o rekwizycji (zajęciu motocykla) dla potrzeb gendarmerii!

Od tej chwili niemal każdego dnia nowi administratorzy wy-wieszały dwujęzyczne ogłoszenia informujące o zdobyciach fron-towych, niezwyciężonej niemieckiej armii, o nowej władzy, o za-kazach, nakazach i o kresach, jakie czekają za niestosowanie się do nowych praw.

Jedno z pierwszych zarządzeń dotyczyło szacunku, który win-ni okazywać Polacy i Żydzi, wobec każdego Niemca. Przedsta-wiciele tych nacji mieli obowiązek pozdrawiać umundurowanych

Niemców, zdejmując nakrycie głowy, ustępować im miejsca na ulicach, chodnikach i w innych miejscach publicznych.

Wkrótce okupanci wprowadzili godzinę policyjną – od 22.00 do 4.00 – dla Polaków. Żydzi mieli zakaz wychodzenia z domów od 20.00 do 4.00. Należało też zaciemniać okna. Niestosowanie się do zarządzeń podlegało karze mandatu. W celu znalezienia taniej siły roboczej utworzyli przy Ryńku, pod nr 13, Biuro Po-srednictwa Pracy (Arbeitsamt). Jego szef, Josef Fuchs (Jupp Fuchs) wprowadził się do domu Emila Dodecusa, przy ulicy Dzielnej. Lokalni Niemcy wskazywali nazwiska mężczyzn i ko-biet „chętnych” do pracy lub tych, którzy według nich głosili wrogie informacje przeciw III Rzeszy i ich ukochanemu Fö-hrerowi. Wysiedlali głównie Polaków, ale przedstawiciele innych nacji także nie mogli czuć się bezpiecznie.

Kiedy rozległo się walenie do drzwi, rodzina Pejgów siedziała właśnie przy kolacji.

– Aufmachen! Otwierać!

Do mieszkania weszło dwóch uzbrojonych Niemców, męz-cyzna w cywilnym ubraniu i żandarm Hanka. Żołnierze skiero-wali broń w stronę gospodarzy.

– Gegen die Wand²³! Schnell²⁴!

Mężczyzna w cywilu podał dokument panu Józefowi i powie-dział coś po niemiecku. Hanka tłumaczył.

– Dom rekwirują. Teraz tu będzie Schutzpolizei, czyli policja prewencyjna i areszt – uśmiechnął się szyderczo i dodał ostrzeż:

– Do wieczora ma was tu nie być!

Kiedy wyszli, pani Pejga opadła na kanapę. Spojrzała przez try na męża i powiedziała:

²³ Gegen die Wand – z nim pod ścianę
²⁴ Schnell – z nim szybko.

- To po to nowy dom pobudowaliśmy, żeby teraz we własnych komórkach mieszkać? - zaczęła szlochać i trząść się, jak listek na wietrze.

Pejga stał, jak zamurowany. Jednak po chwili usiadł, objął żonę, przytulił i powiedział:

- Przeniesiemy się do komórek, obok piekarni - a patrząc gdzieś daleko przed siebie, dodał: - Piekarni nam nie zamkną! Jeść przecież muszą.



*Ulica Kościuszki. Dom Pejgów - siedziba Schutzpolizei.
Przed domem widoczny Niemiec w mundurze.*

Kolejny wróg

Więści rozchodziły się szybko. Wiele ludzi nie dowierzało, że są prawdziwe. Dopiero z czasem przekonali się, że ich dotychczasowe życie całkowicie uległo zmianie.

Dawid biegł przez podwórko w kierunku mieszkania Szkułarków, nie bacząc na ulewny deszcz. Wbiegł na piętro i zapukał do drzwi.

- Dawid - pani Teresa załamała ręce - trzeba było coś na siebie włożyć. Wyglądasz jak zmokła kura.

- Dzień dobry pani, mogę do Franka?

- Wejść proszę. Dam ci coś do wytarcia głowy.

- Mam ważne wiadomości, ale niezbyt dobre.

- Jezus Maria! Coś z moim mężem?

- Nie, nie - odpowiedział Dawid. - Ale w gazetach piszą, że Ruskie na nas napadli.

- No to już koniec - powiedział Franek, który w tym czasie przykuśtykał do kuchni i stojąc w progu przysłuchiwał się rozmowie.

Wszyscy usiedli przy stole. Dzieci obstąpiły mamę donkoła i czekały, aż Dawid wyciągnie schowaną pod ubraniem, nieco przemoczoną gazetę. Położył ją na stole i głośno przeczytał tytuł:

- 18 września 1939. Wojska sowieckie na terytorium polskim...

Przerwał na chwilę i spojrzał na obecnych. Wszyscy stali jak skamieniały. Nie odzywali się, więc po chwili zaczął czytać na głos powody, które podał ZSRR, jako przyczynę ataku na Polskę.

- Warszawa, jako stolica już nie istnieje, a Rząd Polski uległ rozkładowi i nie okazuje przejawów życia, co znaczy, że Państwo Polskie i jego rząd przestały faktycznie istnieć. Dlatego też straciły ważność traktaty zawarte pomiędzy Polską a ZSRR...

Dalej piszą - dodał - że Ruskie uważają, że taki stan, to zagrożenie dla ich kraju, a mając na uwadze dobro własnych obywateli

zamieszkujących tamte tereny, muszą przywrócić w Polsce porządek i spokój.

– To bandyty! – powiedział Franek – chcą się odegrać za lipnia z 20. roku. Najpierw Niemcy z kilku stron, później Słowacy, a teraz oni. Znowu rozbiory chcą zrobić!

Zapadła głęboka cisza. Po chwili najmłodsza córka Kryśka przytuliła się do matki i spytała:

– Mamo, a co to są rozbiory?

Matka nie odpowiedziała. Zwróciła się do syna:

– Włącz radio, może coś będą mówić. Franek, podskakując na kulach przyniósł z pokoju radio i założył słuchawki.

– Nadają komunikat prezydenta Mościckiego.

Powtarzał głośno słowa usłyszane przez słuchawki.

„Nie po raz pierwszy stanęliśmy w obliczu nawałnicy zalewającej nasz kraj ze wschodu i zachodu. Polska... walczy... przeciw bezprawiu... przeciwko bezdusznemu barbarzyństwu. Z walki tej... musi wyjść zwycięsko”.

– Wracam do domu – powiedział Dawid. – Tate pewnie jeszcze nie wie.

Pożegnał się i szybko wyszedł.

Wechodząc do mieszkania, usłyszał płacz Miriam.

– Co się stało? – wziął siostrę na ręce. – Czemu płaczesz?

– Nie, nie – powiedziała Chana – tylko guza sobie nabita. Bawili się z Abramkiem i zającą złapała.

– Jak by tak nie ciekali, toby się nic nie stało – dodała Sara, stawiając obiad na stół. – A ty jak zwykle górzysz ganiasz. Że ty nie możesz usiedzieć na miejscu! – dodała zdenerwowana. – Ty już nie jesteś gońcem, ale chyba twoje nogi o tym jeszcze nie wiedzą.

Dawid uśmiechnął się smutno.

– Tate – zwrócił się do ojca siedzącego przy stole – Roskie na Polskę napadły.

Ojciec tylko skinął głową. Sara odpowiedziała za niego.

– Już wiemy. Dopiero co wyszli panowie z gminy. Daj Tate spokój. Dostęć, że on nie może zakładu otworzyć, to jeszcze woryscy Żydzi mają czekać w każdej chwili na wezwanie do pracy. Pan Satt mówił też, że nie możemy handlować i po drogach jeździć, i pieniędzy z banku też nie możemy wziąć, ile my chcemy. Aaa... i nasze fabryki też mają zamknąć. Daj Tate spokój.

30 września podano przez radio, że Warszawa skapitulowała.

To smutne zdarzenie spowodowało chwilowe przygnębienie i rezygnację.

„Halo, halo, czy nas słyszycie? To nasz ostatni komunikat. Dziś oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy. Braterskie pozdrowienia przesyłamy żołnierzom walczącym na Helu i wszystkim walczącym, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Jeszcze Polska nie zginęła. Niech żyje Polska!”.

Jak zawsze na koniec programu w eter popłynął hymn państwowy.

Dawid siedział na swoim stryszku strasznie przygnębiony. Patrzył przez okno na świat, który do niedawna cieszył jego serce każdym wschodem słońca, każdym powiewem wiatru, czy delikatnym majowym deszczem. Dawał poczucie bezpieczeństwa i nadziei na coraz to lepszą przyszłość. Teraz stał się pochmurny, smutny i nieznany. Pelen obaw i lęków. Ocknął się w końcu, wziął pióro i napisał w swoim pamiętniku dużymi, drukowanymi literami:

1 października 1939 niedziela

1 (1) TERAZ? Do niedawna każdy ranoek był początkiem radosnego dnia i początkiem życia dla ludzi i zwierząt. **A TERAZ?** Codziennie patrzyłem w przyszłość z optymizmem planując każdy następny dzień. A co mam teraz myśleć? Jakże smutno planować? Co mnie w życiu czeka? Same pytania. Żadnej odpowiedzi. Nic nie przychodzi mi do głowy. Boję się, że nie mam już żadnego wpływu na moje życie. Czuję wewnątrz mój niepokój, obawę ze stanie się coś niedobrego. W końcu to wojna. Żadna wojna nie przynosi nic dobrego. Iles to już książek czytałem na ten temat. Iles opowiadał dyktando od ludzi, którzy ją przeżyli. I nie tylko ja się boję. Wszyscy wolali się tak przyzwyczeli. Tacy młodzi, młodzi. Jednak nie powinienem okazywać tego po sobie. Muszę wypierać radość. Poczucie ich. Jak będziemy trzymać się razem to wszystko będzie dobrze. Tak. Taka niska optymizmu jest potrzebna, nie tylko mnie, ale i mojemu Łacie i Karci i Miriam. Choć ona to jeszcze nie rozumie, co się dzieje.

Powrót Zenka

Dni płynęły z wiadomości, jakie dochodziły do Żelowa nie napawały optymizmem. W końcu wszyscy już wiedzieli. Polska pod naciskiem przeważających sił wrogów skapitulowała. Na jeźdźcy zagłębiły polskie miasta i wsie. Dzieci ułup. Obroncy ojczyzny wracali powoli do domów. Niestety nie wszyscy. Wiele dzielnych żołnierzy zostało na polach bitew na zawsze. Wiele Niemcy. Rosjanie uwieźli i wywieźli w nieznanym kierunku. Ich los był niepewny i nieznany.

Milena wbiegła do mieszkania Szkudlarków bez pukania. Ładziła to sobie dopiero, kiedy wpadła w kuchnię na gospodynię. Ucałowała ją szybko w policzek. Była szczęśliwa i rozesmiana.

Zenek wrócił! Krzyknęła i podbiegła do Kasi.

Szepnęła jej coś do ucha, potem podeszła do Franka i nie bacząc na obecność wszystkich domowników mocno i gorąco pocałowała chłopaka w usta.

Frank zamrugał oczami.

Muszę mu powiedzieć, żeby częściej gdzieś wyjeżdżał?

Dziewczyna opuściła wzrok i zarumieniła się.

No, to biegnę. Przyjdzie do was. Tak kazał powiedzieć i już jej nie było.

Późnym popołudniem Zenek zapukał do drzwi państwa Szkudlarków.

Dzięki Bogu! powiedziała pani Teresa, kiedy otworzyła drzwi.

Objęła go jak syna i ucałowała w czoło.

Dziewczynki skakały wokół niego.

Zenek wrócił, Zenek!

Chłopak wstał się z dziećmi, ale cały czas zerkał na Kasię, która stała z boku, przypatrując się radosnym powądom.

A ze mną się nie przywitaś? powiedziała w końcu nieco zazdrosna.

Podszedł do dziewczyny. Objął ją w pasie, podniósł do góry i okręcił kilka razy dookoła.

Obiecałem, że wrócę... i jestem!

Modliłem się za ciebie - ucałowała go w obu policzki.

Frank stał obok wsparty na kuli.

A przyjacielowi ręki nie podasz? wyciągnął prawą rękę w kierunku Zenka i uściskali się serdecznie.

A ty ciągle kusiłysz?

W tym tygodniu mi zdejmną. Siadać. Opowiadać.

zupełnie inaczej wyobrażałem sobie wojnę - zaczął poważnie. Kiedy wyjeżdżał z Żelowa wszystko miało być tak pięknie. Damy łupnia Niemcom i wracamy w chwale zwyciężczy.

siwa, ale moje marzenia szybko zmieniła rzeczywistość. Wojna jest straszna. Tyle wam powiem.

Zmieniłeś się — wtrącił Franek.

To ona mnie zmieniła. Jakbyś widział wokół siebie tyle śmierci, — tu znajomych i kolegów, którzy szli z tobą rannę w rannę, a po chwili padał na ziemię i już nie wstawał, też byś się zmienił. Kule wstają, pokuski wybuchają. Ohok, przyjacieli, z którym dopiero co rozmawiałeś, leży z oderwaną ręką, w kałuży krwi. Nie myślisz. Albo z tego wyjdiesz, albo nie. Szczęście, ty ko szczęście. Ktośko mnie nie było, ale to wystarczyło. Nawet Żelów wygląda teraz inaczej.

Walczyliśmy w hitwach nad Bzurą. Był tam też pan Miedziński z Miedkiem Kapucynskim byłem w tej samej drużynie.

A co u niego? — spytała pani Teresa. — Wrócił z tobą?

Żenek spojrzał na Szkadlarkową, potem powiedział błędnym wzrokiem po — wazach siedzących wokół niego ludzi.

Miedek nie żyje. Poległ pod Moganiem 11 września.

Zostało się zupełnie cicho. Pani Teresa otarła koncem rękawa napływające jej do oczu łzy.

Cie dziewczka go znalazła — nie mogła mówić dalej.

Przed przysięgą do was byłem u niego w domu. Podaliśmy, który miał przygotowany na taką ewentualność. Każdy z nas miał. Przywoziłem też jego hełm. Kula weszła od przodu i wyszła tyłem. Ciekawie mu na strzepy rozzerwała. — Boże! tak jego matka płakała. Nigdy tego nie zapomnę.

Dziewczynki zaczęły płakać. Przytuliły się do matki Frankowej także płycnęły łzy po twarzy.

Później przedzieraliśmy się do Warszawy do Armii „Poznań” — kontynuował opowieść. — Udało nam się. Dopiero po kapitulacji Warszawy — zakończeniu działań wojennych dostaliśmy rozkaz, żeby wrócić do domów. Każdy na własną rękę. Trochę na nogach szedłem, trochę jechałem furmanką z jakimś ludzikiem, a z Karsznic to zabrałem się do Żelowa z Kilaneczkami z Łubczewic. Oni tu często wozem do Głusmana jeżdżą. No i je-

...Mnie się udało, ale bardzo wielu zginęło, a wiele tysięcy wzięło do niewoli.



Mieczysław Kapucynski



Mieczysław Miedziński

A co moim mężu nie nie wiesz? — spytała pani Teresa.

Wiem tylko, że przedzierał się w kierunku Warszawy, ale tylko — tylko. Proszę się nie martwić, wrócił cały — zdrowy. Tylko przez tę wojnę to różne ludzi po świecie porozrzuciło.

Szkadlarkowa westchnęła głęboko. Podeszła do okna. Nie chciała, żeby dzieci widziały, że znowu płacze.

Zburzenie pomnika

Po słonecznym początku października kolejne dni były już wietrzne i dzikie, ale okupanci mieli swoje plany — realizowali

je z całą stanowczością także poprzez niszczenie wszelkich śladów polskości.

Dawida obudziły hałasy dobiegające zza okna zakładu. Przyłożył twarz do szyby i spojrzał przez niedomkniętą okiennicę. Przy pomniku stał niemiecki ciężarowy samochód, z którego zsiadali żołnierze. Nieco dalej ustawieni w dwuszerzgu stali jego pobratymcy. Chłopak podszedł do kozetki, na której spał ojciec i lekko dotknął go w ramię.

– Tato – szepnął – coś się dzieje.

Sakimon obudził się i podszedł do okna. Z zaciekawieniem i przejęciem obserwował, co będzie dalej. Kilku Żydów poganianych przez jakiegoś niemieckiego żołnierza, kilkakrotnie owinięto cokol grubymi łańcuchami.

– Tato, Zniszczą pomnik.

Sakimon przytaknął. Robotnicy kilofami i łopatami podkopali postument. Podłączyli łańcuchy z tyłu do ciężarówki, która powoli ruszyła z miejsca. Pierwszy spadł orzeł, następnie przewrócił się i rozbił w drobne kawałki cokol. Reszta rozbito ręcznie. Załadowali łańcuchy z ogrodzenia, gruz z pomnika na ciężarówkę. Odjeżdżał. Pozostawili na miejscu Żydzi porządkować miejsce po symbolu wolności i niepodległości Polski.

Huli! – krzyknął nacierający stojący najbliżej robotników. Nachylił się, wygrzebał z ziemi metalową tuleję. Odrzucił ją z pachu, położył z boku. Sakimon spojrzał na syna.

– To pewnie „kamień węgielny” który położyli przed wzniesieniem pomnika w 1924 roku – powiedział.

Pierwsze represje

Już na początku okupacji rozpoczęły się pierwsze wysiedlenia. Inzejowali je miejscowi Niemcy, wskazując lokalnym władzom osoby, które mają zostać wysiedlone. Celem było przejęcie opuszczonych przez Polaków placówek gospodarczych, mając-

kow ziemskich, czy zakładów rzemieślniczych. Donosiciele kierowali się głównie prywatną nuchęcią do poszczególnych osób lub myśleli o własnym zysku.

Naczelną kamienica w Rynku dzięki swojej dobrej lokalizacji i restauracji znajdującej się na parterze stanowiła dla Niemców doskonale miejsce do zlokalizowania tam hotelu. Restaurację po dotychczasowej właścicielce przejął inwalida wojenny z drewnianą nogą, Niemiec, Schwartz. Z lokalu mogli korzystać tylko dwaj właściciele III Rzeszy.

Lokalne władze wywały do opuszczenia mieszkania domu, danej miejscowości, najczęściej w ciągu 24 godzin.

Sekundarkowa zmywała naczynia po obiedzie, kiedy rozległa się głośnie walenie w drzwi. Podskoczyła ze strachu.

Kolejne złe wiadomości? – przeszło jej przez myśl.

Odetchnęła, gdy otworzyła i ujrzała znajomego.

A, co pan tak wali, panie Kubiak?

Pismo mam od nowych władz, pani Teresiu – powiedział mężczyzna stojący za drzwiami. Chyba niezbyt dobre nowiny, pisał kobiecie kopertę.

Pokwitować trzeba – podsunął listę.

Pani Teresa spojrzała na papier, na którym było jej imię – nacięto, potem pytającym wzrokiem popatrzyła na posłańca. Pokwitowała i weszła do mieszkania. Była blada i drżały jej ręce.

Daj mamie, ja otworzę – powiedziała kasia. Nakaz eksmisji przeczytała głośno.

Myślałam, że to coś o waszym ojcu – mimo złej wieści odetchnęła głęboko i usiadła.

Nawet tak nie myśl, mamie. Tato wróci cały, zdrowy – powiedział Franek.

Dziewczynki objęły ją w pól.

Tak, mamie – dodały – przecież nam to obiecał.

Mama przytuliła dzieci i uśmiechając się przez łzy powiedziała.

No, to jednak pojedziemy do babci na wieś. Zrobimy sobie takie wakacje na wsi – próbowała dzielnie stawiać czoło problemowi, nie okazując przed dziećmi swego zmartwienia. Ale nie możemy cały czas siedzieć tu na głowie. Wracie jak u nas ciasno. Pobędziemy kilka dni, a w tym czasie przygotujemy sobie mieszkanie w Żelowie. Już wcześniej rozmawiałam z ciocią Wójcówną. W podwórku mają wolne mieszkanie na wynajem. Trzeba je tylko uprzątnąć i umalować. Przeczytaj, kasiu. Ile mamy czasu?

Córka ponownie zajrzała do listu

- Trzy dni, mamo

No to zaraz pojedziesz do wujka i powiesz, co się stało. Tylko kzyhka wróć. Mammy mnóstwo roboty

Hura! krzyknęły młodsze dziewczynki. Będziemy mieszkały z Janeczką!

Po tygodniowym pobycie w Bujnach rodzina Szkodlarków przeprowadziła się do wynajętych u Wójcówny mieszkań. Zenek i brat pami Teresy – Ekwentaw pomogli w remoncie

A tata nas tu znajdzie, jak wróci? – zapytały Kryśka i Rozka. Znajdzie. Na pewno znajdzie – odpowiedziała mama.

- A kiedy on wróci, mamo?

Już niedługo, jeszcze dzień, jeszcze dwa i na pewno wróci. Pocałowała dzieci i czule przytuliła.

Ale Zenek już dawno przyjechał i inni też

Wasz tata walczył pewnie gdzieś dalek, więc i do domu ma dłuższą drogę – wymyślała na poczekaniu dla uspokojenia córek, co chyba je przekonało, bo przestały pytać

Pomóżcie mi teraz układać w szafkach.

Dziewczynki ochoczo załapały się do pracy

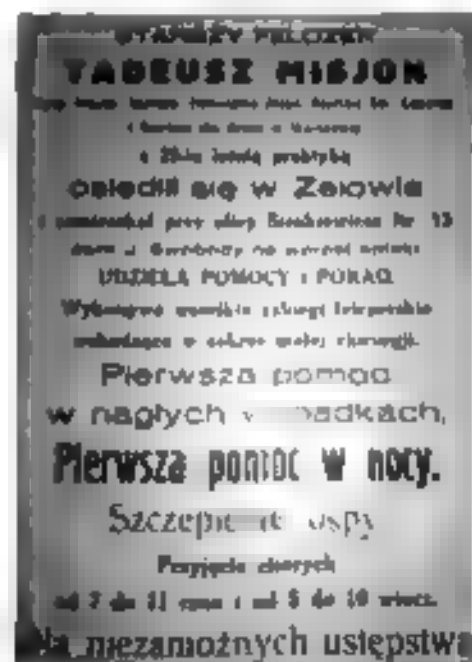
Frank! krzyknęła do syna. Stań przy wozie, przypilnuj, a wuj i Zenek pozoszą rzeczy. Pamiętaj, jutro idziemy na zajęcia gimn.

Gabinet doktora Tadeusza Misjona, a właściwie felczera M. Misjona, mieścił się w budynku przy ulicy Sienkiewicza.

Frank nieświeżo się napił zanim dotarł tam o kalach. Pacjentów nie było, więc od razu poproszono go do gabinetu

Witam, kawalerze – starszy mężczyzna wstał od biurka i podszedł do chłopaka

Pamiętam, jak spudłak. Wydawało się, że nie wyjdiesz z tego, a jednak wszystko dobrze się skończyło



Ogłoszenie o świadczeniach zdrowotnych

Panie doktorze, będę chodził?

Jasne, że tak. Trochę cierpliwości i rehabilitacji. Za dwa, trzy miesiące będziesz mógł chodzić po ziemi. Po rusztowaniach, dopiero za pół roku – uśmiechnął się szczerze.

W połowie października rozszalała się wiadomość, że szkoła powszechna nr – wznawia z początkiem listopada działalność. Jej kierownictwo objął zeliwski Niemiec i przedwojenny nauczyciel te szkoły, Edmund Freund. Nie była to już ta sama szkoła, co przed wakacjami. Nadano jej typowo niemiecki charakter. Pierwszą decyzją nowego kierownika było zdjęcie ze ściany i rozbicie popiersia marszałka Józefa Piłsudskiego, patrona szkoły. Kierownik wprowadził też gruntowną reorganizację zajęć. Lekcje rozpoczynały się, kończyły w języku niemieckim. Zrezygnowano z nauczania kilku przedmiotów – a przede wszystkim zabroniono wstępu nauczycielom i dzieciom pochodzenia semickiego.

Najważniejsze: zabyscie nauczyły się języka niemieckiego grzmić do dzieci, podczas pierwszego apelu, kierownik Freund.

Macie mówić po niemiecku, czytać po niemiecku i pisać po niemiecku, bo to teraz wasz język matczyny. Obowiązują was, brunozy – niemieckie porządki, czystość, dyscyplina i uczciwość wobec nas, rasy potawianej, wyżej w boskim porządku.

Po powrocie ze szkoły, Janka Weymanów i Lucynka Cłarskich zgodnie stwierdziły:

Mamo! My już nie pójdziemy do szkoły.

Mama Janeczki spojrzała z troską na córkę i jej koleżankę.

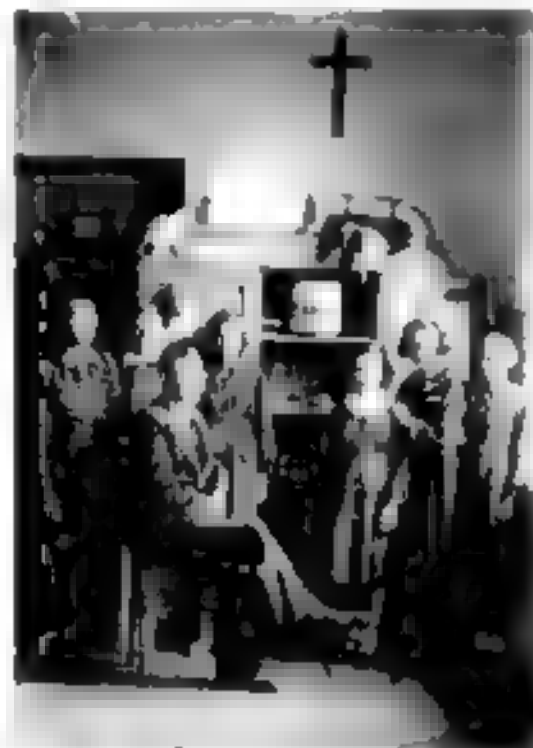
Co się stało? – spytała.

Mówią po niemiecku, ciągle krzyczą, i nie ma nauczycielki i – dziewczynka jednym tchem przekazała swoje żale, a Lucynka dodała:

Ciaćciu, pan Zdzisławski powiedział, że już nie będzie ani oszczędzania w SKO ani sklepiku. A ja tak lubiłam tam kupować. Najbardziej bułeczek mi szkoda. Janka i Zosia kupowały je

w piekarni u Bajnisza i smarowały marmoladą. Dzieci zawsze wszystkie wykupiły, także były dobre.

A! – przypomniała sobie Janka. Drużyny harcerskie też już nie będzie.



W sklepiek szkolnym. Nauczyciel – Jan Zdzisławski, od prawej: Janka Topolaka, Marzeta Perlinska, Miłena Kontrcha

Casy zmieniły się i ludzie do końca nie wiedzieli, komu można ufać. Dawni sąsiedzi, o których miał jak najlepsze zdanie

stawa się z dnia na dzień gorliwym zwolennikiem Hitlera, mni-
dłemu i niewinnyemu wiarcom z chęcią wzbogacać się lub wykrewniać
dawne porachunki, ale bywa też taki, który niezakłóconie na-
prawałozę ser iacudę w wyznawanie religii pomaga i udziela
nieinteresująco.

Takie Salomon, kles do pana powiedział wychodząc do
mieszkania Michała Łaznowski, lokator przyjeżdż na kwartę do
złoty wieści.

- Salomon - usłyszeli pozdrowienie przybyłego.

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Poprawił się na krześle i podrapał w głowę.

- Od czego by tu zacząć?

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Skąd to wiesz?

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Salomon zamyslił się głęboko, a Szwak dodał:

Al - jeszcze jedna ważna rzecz. Nikt więcej nie może o tym
mówić. Bo w końcu ktoś się wypada. Teraz w swoich rekach
cała rodzina Twoja i moja i Libermana. Ciołkiego i Liberman
nie może być. Nie może być. Nie może być. Nie może być. Nie może być.
naszej gminy, pod ósmym. Te od podwórka.

Szwak przebiegał się i poszedł. Salomon pozostał z Szwakiem.
Szwak nie rozumiał, że decyzyjnie musi podjąć jakąś decyzję.

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Prześladowania Żydów

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Salomon - Jurek, czy nie mówimy się tu spraważem? -
spodniarz powitał kłopotliwie Szwaka. - Ho to teraz takie czasy, że
człowiek więcej zły niż z diabeł słów przysięgi dodaje.

Wakoczyli do pomieszczenia

Nie ma go – krzyknął trzeci z mężczyzn. Schwernberg.

Na pewno się schował – dodał Neumann. Zaraz go znajdziemy

Zaczęli chodzić wokół udając, że bawią się w chowanego

Raz, dwa – fajna gra, trzy – cztery – nie ma Żyda do cholery
pięć, sześć – dalej, szukam, siedem, osiem – jak go złapię, to
ustukam.

Aaa – jest nasza myszka – Johann złapał za ucho kupca, który
z łaski, wystraszonego Żyda.

Wyciągnęli go na środek sklepu i posadzili na krześle

Trzymajcie go. Tracie go ogiemy. Dawno tego nie robił
powiedział Neumann i wyciągnął z kieszeni sepioryk.

Dwaj kłedzy przytrzymali ofiarę, a okrutnik skłamał brodę
i pejsy mężczyzny nie bojąc się na ból, jaki mu zadawał. Po skoń-
czonej pracy obejrżeli swoje dzieło

Nieźle ci to wyszło. Mogłbyś zostać fryzjerem – powiedział,
śmiejąc się, Hanke

Neumann uśmiechnął się – spojrzał na swoje dłonie

- Chodźmy, muszę się umyć, bo jeszcze się czymś zabrudzę od
tego porcha

A widząc swą ofiarę ze spuszczoną głową, dodał:

Nie martw się stary. Lepszy jest Żyd bez brody, niż broda
bez Żyda

Oprawy zarechotali i odeszli, zostawiając upokorzonego
człowieka, odartego z czoła i godności.

Wkrótce ukazało się kolejne zarządzenie nowych władz, które
należało bezwzględnie wykonać. Dotyczyło ono żydowskich
książek religijnych i świętych ksiąg. Pisany dorobek kultury
i religijnej semickiej został zebrany i zwieziony w asyście żandar-
mów na podwórko przy piekarni Bajusza Herszkowicza, u zbie-

gu ulic Żemskiego i Kilińskiego. Wyznaczeni Żydzi, zwozili
księgi na taczkach i układali w jeden, wielki stos

Aj! Waj! Aj! Waj! – marmotali pod nosem, krwając się
w przód i w tył.

O chwień wzywali Najwyższego, prosząc go o pomoc

O Jahwe! Czemu nam to czynisz. O Jahwe! Spójrz na słu-
gi twoje! Poratuj je w biedzie

Tymczasem jeden z porządkowych obiał stos nafią i podpalił
rzucając na wierzch kawał palącej się szmaty.

Aj! Waj! – wzmożły się głosy, przerydzały się powoli
w ogólny lament

Stojący z boku Niemcy przyglądali się niecodziennemu zjawis-
ku z uśmiechem i satysfakcją

Nie ma co zawodzić. I tak piszecie nie z tej strony – powie-
dział wesóło Neumann.

My tak piszemy od kilku tysięcy lat, a ty w ogóle nie umiesz
pisać – odpowiedział odważnie młody stojący w pobliżu Żyd.

Żandarm odwrócił się i kolbą karabinu uderzył chłopaka
w brzuch, a kiedy ten przewrócił się, dokrzył mu jeszcze raz, wle-
rząc prosto w twarz.

Nowi administratorzy

Z dniem 26 października 1939 roku zaczął obowiązywać ogło-
szonej wcześniej dekret o przyłączeniu części okupowanych ziem
w tym Żelowa, do III Rzeszy. Okręg Rzeszy „Poznań” którego
namiestnikiem został Gauleiter NSDAP – Arthur Greiser obej-
mował część terytorium byłego województwa łódzkiego i po-
znańskiego – granica z pozostałymi okupowanymi terenami,
z których utworzono Generalną Gubernię, Lwów, Protektorat, biegła
tutaj obok Żelowa, a jej naturalną część stanowiła rzeczka Pitsa.
W miejscu jej przepływu pod szynami, na mostkach w Bupach
Kuczych i w Łobudziecach, Niemcy ustawili posterunki, kontroli

graniczne. Przy budkach wartowniczych stały obstawione wor-
kami z piaskiem Ciężkie Karabiny Maszynowe, a szosy patrolo-
wali żandarmi, jeżdżąc motocyklami BMW, typu Sahara.



Strzałek na Piłce w Lubadziszach - 1939 r.

W niemieckiej gazecie „Deutsche Lódzer Zeitung” napisano
ze na wszystkich polach życia społecznego, kulturalnego i eko-
nomicznego wprowadzona została polityka germanizacji, która
realizowana będzie przez zmianę statusu zastanego oraz przez za-
siedlenie nowo przyłączonych do III-Reichu obszarów
Niemcami pochodzącymi ze wschodnich terenów przedwojen-
nych ziem polskich. W dniu 30 października 1939 r. Heinrich
Himmler szef niemieckiej policji wydał zarządzenie rozkazujące
rozpoczęcie akcji wysiedlenia ludności polskiej do Generalnej
Guberni.

Pierwsze aresztowania

Słoneczny, lekko mroźny dzień 9 listopada nie zapowiadał się
zbyt źle. Zdarzyło się porządkować plac po targu z poprzedniego dnia, a zar-
darmi patrolowali ulicę. Zycie toczyło się już nowym, narzuco-
nym rytmem i nie nie wskazywało na jakiegokolwiek zmiany. Na-
głe na Rynek wjechały wojskowe ciężarowe samochody. Niekie-
ropuste w innych siedzieli żołnierze Wehrmachtu. Po chwili wy-
stokowali już na bruk i ustawiali się w dwuszyrowy wzdłuż muru.

„Tędy, zwęk, dret...” – odliczali kolejno.

Po otrzymaniu od oficerów rozkazów ruszył się trójką po-
d kołami ulicami i domami.

Stanisław Ornał przez Związek Rezerwistów Rzeczypospoli-
tej Polskiej koki w Zieloncu wraz z dziesięcioletnim synem Ma-
riuszem wracali do domu z wizyty u rodziny. Do Nowego Rynku,
półki mieszkanie, nie było daleko. Sześć więc powoli i rozmawiali.

„To gdzie teraz wyje Kosik będzie mieszkał?” zapytał nie-
wysoki, szczupły chłopiec.

„Pewnie przeprowadzi się do Rynku.

A, mhm? A, pan Kapuscicki?”

„Chyba też. Wszyscy muszą się wyprowadzić.

No, ale dlaczego?” – dociekał Mariuszek.

Nikt nie zabiera im domu. Takie niesłuszne są prawa wojny.

Nas też zabiorą?”

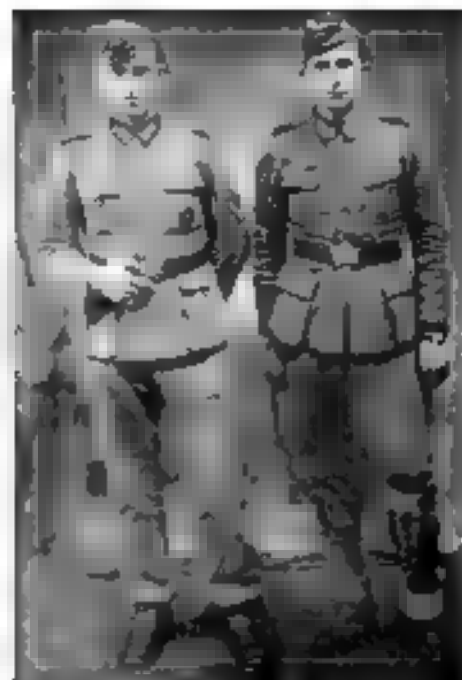
Nie. Chyba nie. My tylko wynajmujemy mieszkania, co wie-
dzą od Niemców, panie Lindnera. tłumaczył ojciec.

Musieli się pośpieszyć, bo mama czeka z obiadem – dodał
Ornał i przyspieszył kroku.

Szła na skróty, ścieżką pomiędzy domami, kiedy drogę zagró-
dził im żandarm i dwóch niemieckich żołnierzy.

„Halt! Papieren!”

Mężczyzna wyjął dokumenty z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał żandarmowi.



Henryk Wyrąbkiewicz

Stanisław Ornat – przeczytał głośno Niemiec – sprzątał na rzymaną w ręku – isię z nazwiskami.

Po chw. odwrócił się w kierunku obsługi – Jaka i skiny! gło-
w! Na ten znak żołnierze dali krok do tyłu i skłaniali brzo-
w! w kierunku zaskoczonych Ornatów.

Hände hoch! – krzyknął jeden z nich.

Pójdziesz z nami – dodał zaręczam.

Nie nie zrobiłem. Udzie mnie zabierają?!

Nie gadaj! – dodał drugi Niemiec i po pchnięciu karabinu
zdezorientowanego i wystraszonego człowieka.

Biegny do mamy! – krzyknął ojciec, odchodząc. No, bie-
gnij!

Syn stał z boku ze łzami w oczach, nie wiedząc co się dzieje.

Hande hoch! – Niemiec z karabinem

Powiedz mamie, co się stało i niech się nie martwi. Na pew-
no szybko wróci – zdążył jeszcze dodać.

W tym czasie okupanci przeszli do zaskoczonych kłopot-
liwych – rzymsko-katolickiej – Zygmunta Żelowa i w kiel-
niskiej Anny Żelowej.

Były to jedne z pierwszych aresztowa-
nia tego dnia. W kolejnych było ich znacznie więcej.

Au machen! Pończ! – razem z tomatami do drzwi słysze-
ć było głosy mieszkańców Żelowa.

Wszyscy się zaskoczyli i zdezorientowali. Nie wiedzieli, czy
wybiegają z domu kolego dnia na pewno do niego wróci.

Niektórzy aresztowani i wywiezieni w nieznanym kierunku wielu
obywateli Żelowa i okolic. Znanymi działaczami naukowymi, socja-
listami, wędrownymi – lekarzami – właścicielami ziemskimi.

Wśród aresztowa-
nych był i polik w znanym się kierownik szkoły nr 2 w Żelowie
młodszy chorąży Wojska Polskiego – Henryk Wyrąbkiewicz, ze-
łowski działacz byłych przetrwał Żelowskiego Klubu Sportowego.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

W tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski
– w tym czasie – w Żelowie – kapłan – magister – Józef Czajkowski.

Judenrat²⁵

W drugiej połowie listopada w żelowskim kahale zawrzało i powstało nadzieję lepszego, pewniejszego jutra. Wcześniej, zgodnie z wrześnie wymagami, wytycznymi, okupanci powołali na terenach okupowanych Judenraty, którym teraz określili konkretne funkcje i cel działania. W Żelowie była to grupa dwunastu mężczyzn, osób wpływowych w miejscowej społeczności. Prezesem został Naftali Mayer. Zadaniem grupy było koordynowanie prac administracyjnych na rzecz społeczności żydowskiej oraz wykonywanie poleceń okupanta. Judenraty zobowiązane były też do dostarczania ludzi do pracy, zbierania i przekazywania datków materialnych i finansowych dla Niemiec, czyli tzw. kontrybucji oraz do sprawowania opieki zdrowotnej nad ludnością żydowską. Musły one gwarantować sprawne wykonywanie powierzonych zadań. Zwierzchnictwo nad Judenratami sprawowały niemieckie władze administracyjne – zasadniczo decyzje dotyczące życia w tych obywatelach podejmowali Niemcy.

Żelowska Rada składała się głównie z członków przedwojennej Rady Żydowskiej. Ich pierwsze spotkanie przebiegało w niezwykle burzliwej atmosferze. Każdy miał swoje zdanie, swój pomysł na pracę i własną ocenę nowo zastanętej sytuacji.

Myślicie, że nie będą gadać, że współpracujemy z Niemcami dla własnych korzyści? – powiedział Rozenblum.

A, jakie ty widzisz inne wyjście? – odpowiadał zdenerwowany prezes Mayer.

Chcesz, żeby cię deportowali? Czy może wolisz dostać kłbą po głowie? To szansa dla nas, Żydów. Żeby przetrwać, trzeba po prostu się podporządkować. Oni nas potrzebują. Gdzie znajdują taką darmową siłę roboczą? Kto wykona najgorsze prace? Kto im buty zrzepetuje, czy ubranie uszyje?

²⁵ Judenrat – Żelowska Rada Starszych

Nie mówiąc już o tym, że do gęby też muszą coś wkładać.

Niedługo dotąd cicho Jakub Gondsztajn, rabin Żelowa, wstał i gestem ręki poprosił, żeby się uciszyli.

Jednym z naszych zadań jest zadbanie o higienę, opiekę zdrowotną i o żywność – zaczął mówić. Z pewnością będzie to kosztowało dużo więcej, niż przed wojną, ale będziemy mogli, pomoć naszym, żeby mieli dach nad głową i mieli coś do garnka włożyć. Jednak musimy trzymać się razem, pokazywać razem. Przedtem wielu z nas było zwolennikami wielkiego rabina z Łory Kalwaryi, inni zwolennikami rabina z Radoszyc, jeszcze inni rebege – z Aleksandrowa, na zewnątrz jednak zawsze występowaliśmy jednolicie. Były wewnętrzne podziały między nami i wiem, że są tacy, co wolaliby, żeby tak było dalej. Czasy jednak się zmieniły i musimy się do nich dostosować. A praca? Żadna praca nie przynosi ujmy, bo każda jest pobłogosławiona przez Boga. Dzięki niej uczestniczymy w dziele stworzenia świata, bo kiedy Bóg stworzył ludzi, rzekł do nich: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną, abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym – nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi”.

Nowe zarządzenia

Na okres zimowy Niemcy zmienili godzinę policyjną. Obowiązywała teraz od 20.00 do 5.00 dla Polaków, a od 18.00 do 4.00 dla Żydów. Zmienili też nazwy ulic. Kościuszki na Laskei Strasse, Żeromskiego – na Evangensche Strasse, Rydza Śmigłego (dawna Piotrkowska) – na Kopernikus Strasse, Poznańskiej na Sebastian Bach Strasse, Dzielnej – na Wehr Strasse, a Rynku

Wskazanie na ulicę grzebiącą: za pomocą którego zwracano się do mieszkańców w Żelowie

na Alter Markt i pozostało ale na co dzień tak wśród miesz-
kańców Żelowa, jak używane przez Niemców, były nazwy pol-
skie.

Po wprowadzeniu kartek na żywność okupanci wprowadzili
kolejność kupowania towarów w sklepach. Od godziny 7.00 do
9.00 świeżą żywność i duży jej wybór mieli Niemcy i Czechy, od
9.30 do 10.30 kupowali Polacy, a od 10.30 do 11.30 Żydzi.

Figurowa Marysia¹ kobieta odwróciła się i zatrzymała.

- A, co tam? - powiedziała do gonimcej jej sąsiadki.

Ciepło i gonię! I! Niech odsapnie kąpię. Małentowa za-
trzymała się ledwie tapuś oddech. Co tam takie krzyki były
w sklepie? - spytała po chwili, jeszcze zaspasana.

Pani Marianna machnęła ręką.

Ludzie to są drwin. Wiesz przecież, że o tej porze to już
w miśnym nie ma czego szukać. No ale niewieczerał to po-
rządny człowiek jest. Czasem zostaw kawałek koci na zupę
a czasem to nawet więcej na kawałek, bo wie, że dam dziecia-
kom Moszka Siemkowskiego. I nich teraz bieda, że aż przykro
patrzeć. No i wzięła akurat to skór kowana, liscia farbowana
dalej się wydzierać, że nam Polakom nie wolno. Wysłałam
szybko, żeby jej nie przyłożył i żeby właściwie nie miał nieprzy-
jemności.

Małentowa nie pytało nawet o kogo chodzi. Wszyscy doskona-
le znali wciąż szwankującą się sąsiadkę.

Patrz Marysiu. Jeszcze parę miesięcy temu taka była porząd-
na i jak to jej w głowie namieszało. Nikt tak do końca nie wie, co
w człowieku siedzi. dodała po chwili.

Figurowa pokiwła głową.

Tak, to prawda - powiedziała zamysłona.

A, słyszałaś jak Kuba dostał po grzbiecie? - uśmiechnęła się
Małentowa.

Sąsiadka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Kuba? Od kogo?

Ja podłóżna przebrała się za Żyda i poszła do sklepu, żeby
sprawdzić sprzedawcę. Niby, że chce coś kupić. Oczywiście zro-
bił to wtedy, kiedy Żydzi nie mogą iść do sklepu. Akurat podje-
chał łamarka Kubik z Walewic i poznał przebierańca, więc dalej
po łatem okładać. Ty Żydzie! Nie wiesz, że nie wolno ci teraz
kupować! - nakrzyczał na niego. Zdzwadził mu parę razy i szyb-
ko wyszedł, żeby czasem nie miał problemów, jak się wszystko
wyda. Kuba miał dobre i gumówkę, to tamten nawet tabliczki na
wóz nie zobaczył.

Kobiety zaczęły się śmiać.

Dobrze tak śmieć, dobrze. Należało mu się. Nie tylko za
to - powiedziała pani Marianna.

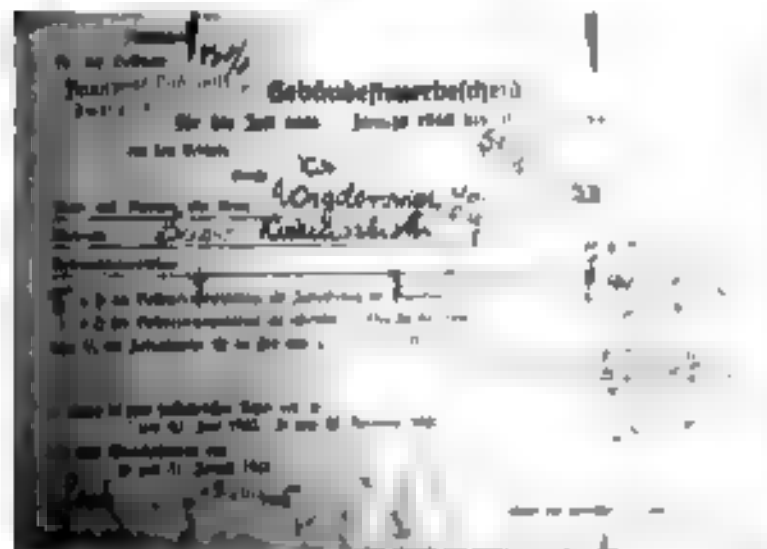
1 listopada wymiana pieniędzy dotyczyła wszystkich miesz-
kańców. Zakaz używania radia obowiązywał Polaków i Żydów.
Z wszystkich dotyczył zakaz zawierania związków małżeńskich
z Żydami. Zarządco było coraz więcej. Czasem częściej zdarzały
się pobicia i upokorzenia Semitów. Ci prawdziwi Niemcy, ci Jar-
bowani z entuzjazmem realizowali polecenia władz wobec na-
rodki żydowskiej, który stał się obiektem drwin, wyrzysk
prześladowań.

Oznakowanie Żydów weszło w życie już wcześniej. 14 listo-
pada 1939 roku. Wszyscy Żydzi powyżej 10 lat mieli nosić opa-
skę na przedramieniu, która wskazywałaby ich przynależność
rasową. W grudniu okupanci zmodyfikowali zarządzenie. Ży-
dowskie pochodzenie wskazywała żółta ciwiazga Dawida z ży-
łami przetrnątymi na obramku. Niepodporządkowanie się temu nakazowi
było karane więzieniem, jednak zabórcy chętnie samemu, ręcz-
nie, wymierzali „sprawiedliwość”.

Nachodził, żydowskie mieszkania i zabierali, co tylko chcieli. Domowników pontali i bil. Zajęcie to upodobili sobie szczególnie lokalni Niemcy.

Mimo częstych grabieży najeźdźcy dodatkowo nakładali na Żydów daniny pieniężne.

Za zebranie odpowiedniej kwoty pieniędzy odpowiadali pod groźbą śmierci przedstawiciele Judenratów.



Nakaz płatniczy Janka Wigulownika.

Władze niemieckie przejęły całą własność państwową oraz majątek polskich i żydowskich organizacji politycznych, społecznych i kulturalnych. Ich fupem padło całe miasto żydowskich zrzeszeń religijnych i znaczna część majątku kościoła katolickiego. Rząd niemiecki przejął wszystkie prywatne polskie i żydowskie przedsiębiorstwa przemysłowe, transportowe, hurtownie handlowe, części warsztatów rzemieślniczych i sklepów oraz duże

i wolne gospodarstwa rolne. Panowało dojmujące uczucie ponuroności, upokorzenia człowieka. Każdy Niemiec mógł zbieć brutalnie gonić do rohoży i mę. absolutnie nie nie można mu było powiedzieć Rodziła się psychika niewolnicza pierwszy ułgorszy skutek niemieckich rządów.

Natalia Zdziechowska siedziała u Wejmanów i płakała.

No, już nie płacz. Niedługo go wypuszczą – powiedziała gospodyni, starając się pocieszyć lokatorkę.

Kobieta otarła łzy chusteczką.

Już tydzień minął, jak byłam w gminie i pisałam prośbę, żeby go zwolnili. Wszystko podpisałam, co tylko mi dali i nie mówili rozżakani.

Pani Maria pogłaskała ją po głowie i dodała.

I trzeba poczekać. Przecież to trwa.

Zdziechowska spojrziała z przerażeniem na przyjaciółkę.

A może on już nie żyje?

Nie trzeba tak mówić. Zobacz, ile czasu czekała Szkodarkowa na swojego i się doczekała, i dobrze się wszystko skończyło.

Zastanowiła się chwilę.

O mężu Wygłaskiewiczowej też cicho – dodała. – Bieda, że też coś podpisała, żeby Henryka wyciągnąć, a za trzy dni już jednego wywiozli – Jarek do Wehrmachtu wzięli. To im szybko idzie.

A de tam było tego naroda? Każdy chciał się czegoś dowiedzieć. Pismo pisała i pieniądze noszą. Jakbym miała, też bym dała. Oni na to bieżą się. Ornafowa, żona Stanisława, napisała jakieś pismo ze ho, ho – niemieckim „golykiem”, bo ona gdzieś spod Gniezna pochodzi i w szkole niemieckiej miała, ale Polka – Kaczmarek z domu.

Maria postawiła na stole dwie herbaty. Usiadła przy stole i patrząc gdzieś daleko przed siebie powiedziała.

Co to się na tym świecie porobiło, a jeszcze niecały rok temu kłótiliśmy się wszyscy na Sylwestrze.

Dni szybko mijały. Trudne czasy zwiększyły ilość obowiązków, przysparzyły więcej trosk i problemów. Jednak życie trzeba było dalej.

Mieśmy się w tym tygodniu na wizytę kontrolną do Misjo-
na, ale jego też aresztowali – powiedziała pani Teresa do syna.
Został nam tylko Zielke, a bo ten nowy niemiecki lekarz – Neme-
lowicz – nie chyba pojedziemy do Rynku, do doktora Zielke.

Franek pouskakując na jednej nodze przesadził się z kózki na
krzesło.

Po co mam tam kusić, kiedy teraz jesteśmy jego sasia-
dami?

No tak, ale jak pojedziesz do niego do domu, to musisz zapła-
cić – wyjasniła mama – dodała. Szkoda, że nie ma doktora
Ludzińskiego. Jak wyjechali całą rodziną na początku września,
to słuch o nich zaginął. Ludzie mówią, że był na fisie tych, co
ich wywozili w listopadzie.

– Pojść mam tam, gdzie kazesz.

– Dobrze, ale ćwicz, bo już miesiąc minął od zdjęcia gipsu,
a ja nie widzę, żeby było lepiej.

Pani Teresa podeszła do miska i zaczęła zmywać naczynia.

Musisz się bardziej starać. Więcej tych ćwiczeń robić, to to
ci doktor zlecił – dodała, nie przerywając zajęć.

Franek zrobił kwaśną minę.

Kiedy to kolano zupełnie nie chce się zginać i ta noga cały
czas jaka chusta.

No, a nie słyszałeś co doktor mówił? To dlatego, że mięśnie
zginęły, więc trzeba je wzmocnić.

Wam to dobrze mówię. Myślicie, że nie chciałbym znów
normalnie chodzić? Już do końca życia będę kaleką – dodał roz-
zeczony.

Nawet m. tak nie mów – szturchnęła go w głowę. Bierz się
do ćwiczeń.

Nareszcie w domu

Ziobał się święta Bożego Narodzenia. Franek usiadł przy
oknie i patrzył na podwórze. Po gałęziach pobudzonego drzewa
śmiały się sikorki. Wysoko nad domem kołowało stado
gołębi, a na podwórku wesoło dokazywały dwa młode szczeniaki.
Pani Szkodlarkowa i jej najstarsza córka krzątały się w kuchni,
a młodsze dziewczynki bawiły się w sąsiednim pokoju.

Zaraz będzie obiad – powiedziała pani Teresa do syna
umyj ręce i zawołaj siostry.

Co dzisiaj dobrego? – spytał Franek.

Ryż, mysz i pieczone ząbki – odpowiedziała z uśmiechem
Kasia.

Suma sobie zjedz te pieczone ząbki – i mysze też – zachęcał
się Franek.

Nie kłóć się – bo ani jedno, ani drugie nie dostanie obiadu.
mama zakończyła przekonywanie rodzeństwa.

Siedzieli właśnie do stołu, kiedy otworzyły się drzwi i – w pro-
gu stanął Ignacy Szkodlarek.

Słuch będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział.

Zaskoczenie było pełne, ale po chwili wszyscy domownicy
ruszyli się w kierunku ojca i męża, całując go i witając radośnie.

O to mnie aduskie – śmiał się i ułił ich w ramionach, a z
oczu kapły mu łzy szczęścia.

Kiedy już nieco ochłonęli, zaczęły się pytania. Gdzie walczyć?
Czy ciężko było? Dlaczego tak długo nie wracał? Później dzieci
kiedyś przez drugie opowiadały co się wydarzyło w domu pod-
czas jego nieobecności.

I to? Krysia bała się, że nas nie znajdziecie.

Nie, to ty się bałaś, że tata pojedzie do starego mieszkania
i pomyśli, że nas też Niemcy wywieźli – odpowiedziała Róża.

Znalazłem was, znalazłem – odpowiadał wesoło ojciec ca-
łując dzieci w czoła. Choćbyście poszły na koniec świata, to
był was znalazł!

Teraz dajcie tacie zjeść obiad i odpocząć. Później wam wszystko opowie – powiedziała pani Teresa.

Smacznego – dodała stawiając na stole talerz z jedzeniem. Bogu dziękować, że jesteś zdrow i cały – delikatnie ucałowała męża w policzek.

Przez kilka następnych godzin rodzina Szkudlarków nie mogła się sobą nacieszyć. Znowu wszyscy byli razem. Urodniowy niedzielny dzień był dla nich jednym z najszczęśliwszych w ostatnich miesiącach. W końcu Szkudlarek wstał i przeciągnął się.

Muszę trochę rozprostować kości. Tereniu przejdź się do Wejmanów – poprosił – Zapros ich na kielicha.

Chyba nie będą mogli przyjść, bo Janeczka leży z gorączką.

- Na, to ja pojdę. Chociaż się przywitam.

My też, my też – skakały Kryśka i Rozka – zobaczymy jak się Janka czuje.

Na, to chodźmy wszyscy – postanowił pan Ignacy.

Wejmanowie serdecznie przywitali przyjaciela.

- No, weteran sudań, opowiadaj – powiedział Adam. Takie wydarzenie trzeba opisać – dodał.

Toteż i mama, co trzyma – Szkudlarek postawił na stole litrówą butelkę wódki.

W tej chwili z korytarza dobiegły jakieś hałasy.

Bez pukania wchodzi, bo wiem, że czekacie na doktora Łuczyńskiego.

Wchodzący pierwszy Władek Łański spojrzał na Szkudlarka.

- Jezus Maria! Wróciłeś – uściśkał go serdecznie.

Łuczyński także podał mu rękę.

Cieszę się, że zdrowym pana widzę – dodał. Najpierw zbadam chorą. Później porozmawiamy.

Dobrze, że pan już jest, doktorze. Bieda była w Żelowie bez pana – powiedziała Wejmanowa, wprowadzając lekarza do sąsiedniego pomieszczenia, do leżącej tam córki.

Pozostali w pokoju mężczyźni zasiedli wokół stołu.

Sudań, Franek – powiedział Wejman, nalewając mu do kieliszka. Za powrót twojego ojca pijemy – Szkudlarek wznosił kieliszek w kierunku gospodarza.

Dziękuję wam za opiekę nad rodziną – zaczął Szkudlarek.

Jakże mielibyśmy Tereni i dzieciom nie pomóc. Daj spokój. Zrobiłbyś tak samo. Opowiedz lepiej, jak było.

Nie było lekko, a na pewno nie tak, jak w 20. roku – zaczął wspominać. Nie mieliśmy czym walczyć przeciw takim potworom. Wszystko w stali, czołga, armaty. Prawda jest taka, że nasza kochana Polska ma dopiero 20 lat. Dopiero dźwiga się po ponad stu latach grabieży, mordów i naszczenia naszej polskości.

Zapadła chwila ciszy.

Mimo to kilka razy dostał takiego łupnia, że musiał się co-taś. Dalibyśmy im radę, bo mieliśmy ducha walki, bo walczyliśmy o ojczyznę, o honor polskiego żołnierza – gdyby nie ci bandyci ze wschodu... Tak Dalibyśmy im radę.

Napijmy się za naszych dzielnych wojaków – powiedział gospodarz.

Władek Łański podniósł kieliszek i skierował go w stronę Ignacego.

Za twój szczęśliwy powrót – w ciszy przechylił kieliszki.

Wiele jeszcze nie wróciło i nie wiadomo, co z nimi? – powiedział Szkudlarek.

Wiele też poległo – dodał Łański. Słyszalesz Ignacy o młodym Kapuścińskim?

Dzis się dowiedziałem. Znałem go od dziecka. Kula nie wybiła.

Wejman ponownie napełnił kieliszki.

On już w niebie – w polskim mundurze przy boku św. Piotra wartę trzyma. Tylko, że żal i udręka dla żyjących.

Tak, tak – zamyslił się pan Władysław, a po chwili dodał: To nie ta sama wojna na jakie, ja wojowałem, choć też nie było łatwo. Kiedyśmy pod Hańcerzem walczyli, przyszło raz do ataku na bagnety. Pod Zbarazem to było. Tym słynnym – z Sienkiewicza.

Wyskoczyliśmy z okopów biegiem z krzykiem przed siebie. Bolszewik to samo. Biegnę przed siebie ledwie już tuż w pierśach miałem, a tu nagle naprzeciw mnie Ruśk – wielki, jak dąb. Podniósł bagnet w górę i do mnie mierzy. Nie wiem kiedy, ale wypałem. Prosto w jego brzuch. Zwinął się, a ja stałem i patrzyłem, nie wiedząc, jak i kiedy to się stało. Na wojnie jedna chwila, jedno zawahanie, jedna zła decyzja zawazyć może o życiu lub śmierci.

Szkudlarek opróżnił kieliszek i chciał coś dodać, ale drzwi od pokoju chorej otworzyły się.

Angim – powiedziała głośno pani Maria, informując wszystkich o stanie zdrowia córki.

Zapraszamy do nas doktorze – gospodarz wskazał na puste miejsce przy stole.

Luczyński usiadł na wskazanym miejscu.

Zapamiętam lek. W cieple trzymać. Niech się dobrze wypoci.

Wznosić kieliszek w stronę Szkudlarka.

Tak. Chętnie napiję się za szczęśliwy powrót naszego dzielnego żołnierza – dodał.

Tak, tak. Za zdrowie Ignacego – powtórzyli wszyscy razem.

– Mów dalej, Ignacy – powiedział Adam.

Z kolegą, Józkiem Klukiem, byliśmy w 10 Pułku Piechoty w Łowiczu. Józek mieszka niedaleko stąd – w Przymiłowic koło Marzenina, ale pochodzi z Wygieszowa. Przeszliśmy razem kilka krwawych bojów. Najgorszy był ten ostatni. Nękały nas samoloty niemieckie, poczynając od koszar – lasy księcia Radziwiłła.

Ostrzelanie i petyczka z dywersantami pod Marzeninem. Tam zostaliśmy zdrzesiunkowani. Dowódca wydał rozkaz, żeby każdy – jak może – na własną rękę udał się do Garwolina i tam się spotkamy. Tak też udaliśmy się na Warszawę. Byliśmy na Pradze, a następnie na Grochowie ostrzelani i bombardowani przez bombowce i myśliwce niemieckie, a szczególnie na Grochowie. Dotarliśmy do Garwolina. Garwolin palił się strasznie. Wopusku, z którym mieliśmy się połączyć, odmaszerowało.

Wówczas służba wojskowa poinformowała nas, żebyśmy udali się do Lublina. Tak też dojechaliśmy pociągami do Lublina, gdzie zostaliśmy włączeni do 8. Pułku Piechoty. Później obraliśmy kierunek na Chełm Lubelski. Po drodze również byliśmy ostrzeliwani przez samoloty niemieckie. W Chełmie rozpoczęła się bitwa. Kierowaliśmy się na Zamość – Tomaszów Lubelski, gdzie odbywały się walki frontowe. Na polu pod okopami niemieckimi Józek został ranny granatem ręcznym. Ja dostałem porażkę z karabinu w nogę – biodro. To było 23 września.

Na rozkaz dowódcy „chłopcy do tyłu” razem z innymi rannymi odwieźliśmy się około 50 metrów w tył i tak doczekaliśmy do rana. Chyba byłam nieprzytomny, bo niewiele pamiętam. Po 24 godzinach staraliśmy się razem jakoś przeczolgać dalej, ale nie daliśmy rady, więc zaczęliśmy krzyczeć o ratunek. Wówczas Niemcy, będąc nadal w okopach, przyszedł, aby nas zabrać. Mówili, żeśmy wstali, ale obaj dostaliśmy w nogi, więc nie mogliśmy. Wtedy powiedzieli, że przysłał sanitariuszy. Nie mogliśmy się doczekać, więc krzyczeć ismy znowu. Przysłał dwóch polskich jeńców, którzy po krzyku zanieśli nas na płaszczu do Niemców, do szpitala.

Następną noc niemieckie auto sanitarne zawiozło nas do szpitala w Tomaszowie Lubelskim. Na drugi dzień rano mnie opatrzyli, bo kulę przeszły na wyrost, a Józka zanieśli na szlę zabiegową. Poznałem lekarza z naszego oddziału. On mi powiedział, że zostało rannych 800 ludzi, dla których nie było miejsca.

Lekarz, widząc, że jest z nim bardzo źle, kazał go umieścić w szpitalu powiatowym, gdzie miał być pod lepszą opieką. Mnie też tam przenieśli.

Leżeliśmy razem w szpitalu w Tomaszowie dwa miesiące. Później Józka przewieźli w ciężkim stanie do Zamościa – wojewódzkiego szpitala PCK, a ja leżałem jeszcze dwa tygodnie, aż wydobrzezałem i mogłem wrócić do domu. O Józku nie więcej nie wiem. Tylko list mi dał do rodziny i zajęcie.



Występy kampanii wrześniowej 1939. Z prawej Józef Kłuk

Gospodary postawił na stole litrową butelkę samogonu, a Włodek napelnił kieliszki.

Pięć złotych, żeby nasi wrogowie żyli z samej pensji, a cukier mieniący się w mocz. Mów dalej Ignacy, mów dalej – dodał.

Szkudiarzek zamyslił się chwilę i zadumał, ale po chwili kontynuował swą opowieść.

— Nie oddamy nawet guzika mowy! Nie tylko guzik oddali, ale mundur i wszystko inne. Sojuszników mieliśmy mieć – mówił rozgorączkowany. — Liczyliśmy na nich. Nie umiesz ugrześć, nie kłap zębami. No, ale to nie koniec. Niech oni się tak nie czują. Przyjdzie jeszcze na nich sprawiedliwość.

Jeszcze we wrześniu spotkałem Mędrzyckiego, jak szliśmy na Warszawę, traktem przez Stomilkę. Do domu nie mogłem zajrzeć, bo były rozkazy, nie on przy szosie siostrę spotkał i ona go prosiła, żeby nie jechał, żeby został. Wiedzie co on jej powiedział? Powiedział jej: „Ja mundura polskiego żołnierza nie splemie

ci my tego nie zrobiliśmy i nie zrobimy, nie spoczniemy, póki znova Polska nie będzie wolna”. Tak nam dopomógł Bóg.

— Amen – dodał Cieliski.

A doktor gdzie był w ten czas? We man zwrócił się w kierunku gości.

Facyński poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i odchrząknął.

Zaraz na początku, po bombardowaniu Wielunia i spaleniu Szczercowa, wielu wyjeżdżało. Powzięliśmy decyzję, że my też wyodrznemy, żeby przejechać. Zapakowaliśmy się do mojego taty i pojechaliśmy na Polesie do Drohaczyna Południowego do rodziny zony. Mieszka tam wuj zony Przyjemski Marek, porucznik. Właściwie to on ma Stanisława, ale my mówimy do niego Marek. To on budował właśnie te umocnienia obronne w Lubcu. Tam się wywiesił już wcześniej, bo dostał od Żółtowskiego za zasługi w wojnie bolszewickiej 20 hektarów ziemi. Jego nie było w domu, bo jak mu dali w sierpniu kartę mobilizacyjną, a do tej pory nie wiadomo gdzie jest i czy w ogóle żyje. Wierzył, że wojna potrwa tylko tydzień, bo jak się Anglia i Francja ruszą, a z Hitlerem raz dwa zrobią porządek. Jechaliśmy przez Łódź na Warszawę, bo w Łódź zabraliśmy jeszcze zony matkę. Kiedy tthonia już były zatamowane drogi i nie chcieli nas pусcić dalej. Myśleli, że szpiegiem jestem. Na szczęście przezwili mi zabrzanie. Mam, a właściwie miałem, ciotkę w Ministerstwie Obrony. Coś mi się z nią skontaktować. Ona przekonała ich, że jesteśmy patriotami, a nie jakimś szpiegiem. Na szczęście od Boga udało się. Pojechaliśmy dalej. Na Polesiu był względny spokój. Dopiero 8 września w nocy przyjechaliśmy do domu czubatyki. Kazał nam pisać oświadczenia, że chcemy być obywatelami radzieckimi, więc zaplanowaliśmy po cichu, że wrócimy do Żelwa, ale zoną się rozchorowała i wyjazd musieliśmy odłożyć. W końcu jednak

Czuchajko – gwara z obwodu Łódź, przed wojną.

uciekłszy stamtąd. I co się okazało po powrocie? Że byłem drugim z trzech na tej liście do wywózki. Może dlatego, że byłem szefem PCK, może dlatego, że komus kiedyś podpadłem, a może z zupełnie innej przyczyny. Tego nie wiem. Nie dojdzie się teraz. [Jasne, że po powrocie zastaliśmy dom prawie zniszczony. Prawie wszystko pokradł. Podobno ktoś powiedział, że pod Rusem nas martwych widział. Mniejsza z tym – doktor machnął ręką. Po leje jeszcze – podniósł kieliszek. Trzech lekarstwa na te ciężkie choroby – dodał i spojrzał na Franka. A ty kolego, coś nie bardzo z tą nogą? Jakoś na wiosnę ten wypadek musisz. Kiedy ci gips zdjęli?

- Właśnie doktorze, bo doktora Majorna aresztowali.
- Słyszałem – przerwał Luczyński.
- No, a ja tym chciałem, żeby doktor...

Dobrze, dobrze – ale nie pora teraz, żebym. Przyjdź jutro (Chętnie przyjdę, ale co zaradzimy? Za miesiąc jesteś, żeby kaleką zostać).

Zima nie pokazała jeszcze w pełni sw. jego oblicza. Śniegu nie było, choć czuć go było w powietrzu. Tylko zimny wiatr hulał, gwizdał, zwałował w szczelinach płotów, między koronami drzew, jakby zwołując duchy poległych żołnierzy na święteczny apel. Nie paliły się, jak co roku wystawiane na balkonach światełka Chanuki, a księżyc, który zaskamniał był raz po raz przez ciemne, szybko płynące chmury, rzucił słabe, trupi blask na domy upustoszone ulice.

Zbliżała się Wigilia Bożego Narodzenia. Ludzie przygotowywali się do świąt. Dla wielu ludzi nie mogły być one radosne. W ciągu kilku miesięcy wojny życie straciło wiele tysięcy ludzi. Istnieć. Setki tysięcy ludzi dostało się do niewoli. Za i ból po stracie bliskich powodował, że w wielu domach były to niezwyczajnie smutne święta. Dla tych, których los był nieznany, stawali na stole pusty talerz i liczyli na bożonarodzeniowy cud.

W rodzinie Szkudlarków cieszyli się z powrotu głowy rodziny do myśli o tych, których znał, a którzy jeszcze nie wrócili. Myśli o rodzinie. O Karolu i Mateuszu Dąbrowskich nie było żadnych wieści, a o mężu Józefa Dąbrowskiego wiedziała tylko tyle, że razem z innymi został wywieziony do Pabianic. Teresa zaprosiła siostrę na wigilię, ale jej odmówiła, twierdząc, że musi być w domu, że musi choć symbolicznie polamać się opłatkiem z nieobecną rodziną. Wierzyła, że gdzieśkolwiek oni są, zrobią tak samo.

Pani Wejman siedziała przy stole razem z sąsiadkami, L. i W. i Szkudlarkową. Rozmawiały o świątecznych wypiekach – o tym, że w tym roku święta będą skromniejsze, ale na wigilię na stole nie zabraknie kaszy, kapusty z grochem i ryby.

Tylko, skąd wzięć słodczyki dla dzieci? – zmartwiła się pani S. – Może ugotujemy buraków i melasę wiejemy w foremki. Dawniej moja mama tak robiła. Przy okazji będzie do ciasta.

To bierzmy się do roboty, żeby było gotowe zanim wrócą, odpowiedziała gospodyni.

Dziewczynki wróciły ze szkoły, już po dwóch godzinach.

Co, już wam ferie zrobił? – spytała mama Janeczkę.

Tak mamie i to na zawsze – odpowiedziała smutno córka.

Co to znaczy „na zawsze”?

No, bo pan kierownik powiedział, że od stycznia, to tylko Niemcy mogą przychodzić do szkoły, a jak i uczynka spytała, kiedy my będziemy chodzić, to on mamie powiedział, że: „Jak zima przebiegnie na polu zakwitną”. A przed wejściem to wywiesił taką tablicę – jak w sklepach i w tej restauracji, co to ja przedtem miała pani Czarnotowa: „Nur für Deutsche”.

Nur für Deutsche – Tylko dla Niemców

Rok 1940

Z dniem 1 stycznia 1940 roku Niemcy wprowadzili na terenie Gminy Żelów Zarząd Komisarzyczny na czele z komisarzem Johannem Bergerem. Zarządzał on majątkiem gminy, kontrolował handel, przemysł, rolnictwo, opiekę zdrowotną i oświatę. Odpowiedzialny był także za infrastrukturę. Podlegała mu była policja, Urząd Stanu Cywilnego i księgi metrykowe. Już pod koniec grudnia 1939 roku wprowadził się do świeżo wyremontowanych mieszkań na piętrze kamienicy przy Rynku 9. Z natrętnego pokoju z balkonem nad restauracją, mógł doskonale obserwować to, co dzieje się na placu głównym osady oraz przyległych do niego ulicach Hindenburg Strasse (Sienkiewicza) i Bismarck Strasse (Książskiego).

W styczniu 1940 roku nazwa Okręg Rzeszy „Poznań” przestała funkcjonować. Kraj Warty (Reichsgau Wartheland lub Warthegau) – to nazwy widniały teraz na wszelkiego rodzaju dokumentach cywilnych i wojskowych. Pod koniec miesiąca okupanci powiększyli terytorium III Rzeszy. Zmianie uległa, wytyczona według starych planów z czasu rozbiorów Pruski, wyznaczona wcześniej granica. Została ona, na skutek protestów Niemców zamieszkujących Behatów, przeniesiona w okolice Piotrkowa Trybunalskiego na rzekę Góralicę. Główny posterunek graniczny na tym obszarze Niemcy ulokowali we wsi Mzurka, kolejny w miejscowości Kluk.

Luty 1940 roku pokazał, na co naprawdę go stać. Napierw śnieg okrył grubą warstwą pola, lasy i domy. Później przyszedł mroz taki, że sztachety w płotach pękały z trzaskiem, a ludzie i zwierzęta marzli do szpiku kości. Mimo tego ulice były odsnie-

żone, a śnieg wywożony był wozami do pobliskich lasów. Specjalne ekipy porządkowe złożone z Żydów i Polaków stawiały się każdego dnia skoro świt do pracy, dbały o porządek i przejeżdżność ulic. Dopiero wieczorami mieszkańcy osady mogli ogrzać się i odpocząć w domach. Porozmawiać o aktualnych wydarzeniach, jakie dostarczała niemiecka prasa i dostępne tylko niektórym, radio. Plotki, ploteczki i poważne sprawy przekazywało sobie z ust do ust. Kogo Niemcy wywieźli, komu i za co dali mandat zekwasy żandarmi, gdzie kupić świeżego mięsa – gdzie okupanci kupują bimber. Najwięcej informacji o świecie dostarczały przyjeźdźcy.

Stanisław Ornał – młody, niespełna czterdziestoletni, mężczyzna zasiadł przy stole wśród znajomych i sąsiadów.

Pomógł mu pismo od żony z tymi dziesiątkami podpisów zaczął. I szczęścia trochę miałem. Nie tak jak niektórzy. Za mordowali ich po prostu.

Zaczynaj od początku, Stasiu – wtrącił miejscowy fotograf, Radosław Grajner.

Jak wiesz, zabrali mnie razem z innymi na początku listopada z samego Żelowa, razem ze mną, w tym pierwszym transporcie byli nas trzydziestu. Sami znajomi, nauczyciele, działacze, fabrykanci. Nawet Rajcherta aresztowali. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jedziemy. Okazało się, że do Pabianic. Mimo wszystko uciekłem się, bo tam się urodziłem. Zabrali nas do kurni „Zachęta”. Posadzili na krzesłach na sali. Na scenie stanęli żołnierze z automatami skierowanymi na nas, tak siedzieliśmy przez kilka godzin. Tylko za potrzebą można było wyjść. Nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Rozmawiać nie było można. Minęła noc. Następnego dnia rano przyszedł jakiś oficer. Wyczytał kolejno nazwiska. Zabrali między innymi, Poldka Gajdę, Heńka Wyrąbkiewicza i Misjonę. My dostaliśmy wodę i chleb i co jakiś czas na komendę na przemian wstawaliśmy i siedzieliśmy na tych krzesłach. Taką gimnastykę nam robili. W południe dołączyli do nas nowi,

ze z Żelwa. Wojta Maksymowicz przywieźli, Staska Piechotę i Przepiórkowskiego. I tak było przez kilka dni, a coraz to więcej nas było w tym kowie. Wszyscy zastanawialiśmy się gdzie są nasi kuzyni, bo razem jechaliśmy. Albo siedzieli gdzieś oddzielnie. Albo ich wypuścili? Nikt nie wiedział.

Wypowiedź Omała przerwał Tadeusz Zelmuzer.

Jakos tak około 11 stycznia wrócił. Rozmawiał się po obecnych, jakby szukając potwierdzenia swoich słów.

Tak tak było – potwierdził Ciapbert. A w tym czasie jak byli aresztowani, to z Łasku przyjeżdżał ksiądz msze odprawiać. Jadał – No, ale opowiadaj dalej.

Kilka razy brał mnie na przesłuchania. Proponował mi zmianę narodowości na niemiecką. Udmawiałem więc siedziałem cicho. Ale by i tak co wyraził zgodę. Między innymi Rapchert. On od razu pocięwał do domu. Po jakimś tygodniu dzwonił do mnie ze Żelwa, którzy na trzech dniach do nas dojeżdżali, napisali petycję – umiarkowanie do starzenia nam, no niech – z ich punktu widzenia – żywności. Otrzymał zgodę i po napisaniu pełnomocnictw ich rodziny do starzenia nam jedzenie. Okazywało się Niemcy, że na tym korzystali. Zorganizowaliśmy kuchnię stołową. Było trochę lepiej, choć co jakiś czas robili selekcję między nami. Dowozili też innych mężczyzn. Ciłowanie z niektórymi. Później. Jakos przed świętami mnie jeszcze kilku wywieźli do Radogoszcza. Na początku dali nas do starej cegielni, ale jak skończyliśmy remontować starą fabrykę, to tam nas wadzili. Tam też dowiedzieliśmy się, że z kina, gdzie byliśmy, część ludzi wywieźli do Ciernieja. Gubern, w tym Adolfa Przepiórkowskiego. Część – właśnie do Radogoszcza, a niektórych podobno gdzieś w lasach Łucmierskich rozstrzelali. Niestety także Miskina, Ciapkę, Tadeusza Orzechowskiego, Władysława Lisa, Malepkę Wultera. Wyrobkiwiwa podobno gdzieś indziej wywieźli. Przesłuchiwał mnie jeszcze kilka razy, ale w końcu wypuścili. Przerwał opowieść, lecz po chwili dodał: Ciężkie czasy idą, takich jeszcze nie było.



*Żelwa: Tadeusz Zelmuzer, Zjadowej, Zygmunta Ciapbert, malarka
Stanisława Ciapka, Bolesław Ciapbert, fotograf
Zdzisławowa, Adrian Ciapka*

Na wiosnę 1941 roku topniejący śnieg odsłonił bruk i pozostałości zwierzęcych odchodów. Rozpoczęła się akcja sprzątania miasta. Judenrat otrzymał polecenie, aby tym razem zmusił całą dziesięć pięćdziesięciosobową grupę do pracy stawiać się na Żydów. Wyznaczeni z każdej żydowskiej rodziny zdolni do pracy mężczyźni, kobiety i dzieci po 14 roku życia stanęli skroś w Ryńku.

Pracą najczęściej i najchętniej wykorzystywali dr. tego typu, prac najbardziej znanych i na bogatszych członków miejscowej społeczności żydowskiej. Dla własnej uciechy nakazywano im sprzątać ulic przy użyciu własnych łapek i kapeluszy. Brud z jezdni i chodników kazano wydrapywać paznokciami. Nadzorujący sprzątanie Niemcy żołnierze sprawdzali sumiennie wykonywane prace, a znalezienie brudu karane było biciem kielbasami.

karabinów, kopaniem i porzucaniem. Zmieciące nieczystości znoszone były czapkami w wyznaczone miejsce, które zmieniało kilkakrotnie.

Salomon miał odrubinę szczęścia. Z racji jego zawodu wyznaczono go do pracy w fabryce Pawła Reclawa, przy Kosciuszki 74. Przedsiębiorca zatrudniał Polaków i Żydów, którzy od rana do wieczora szyli i naprawiali bielezącą dla wojska. Oprócz tego Żydówki tam pracujące robiły na drutach wełniane skarpety dla niemieckich żołnierzy. Sam sprzątała i gotowała u Freuda, który jako kierownik szkoły także tam mieszkał. Nie było jej tam źle. Dostawała za to wyżywienie, a czasem mogła wziąć kawałek chleba do domu. Miriam pozostawała pod opieką starszych Żydówek, prowadzących ochronkę.

Niektóre małe, żydowskie warsztaty rzemieślnicze pracowały za zgodą Niemców i dla nich. Żydzi wyrabiali trepy, szyl ubrania. Żydówki szyci kufory i bielezącą. Bywało, że nawet Niemki nosiły do nich dla przeróbki swoje ubrania, płacąc za usługę żywnością. Żydzi i Polacy pracowali także w dwupiętrowym budynku fabryki Lewiego, dawnego zamieszkałego Żelowa. Szyl i naprawiali Niemcom bielejącą, koszule i paki. Dawid najpierw był w ekipie porządkowej, kopał i czyścił rowy melioracyjne. W końcu Abba i Sherman, szef Żydowskiej Służby Porządkowej, zięć Jakuba Lewiego, zaproponował mu pracę.

Zadaniem tej powołanej przez Judenrat grupy było pilnowanie porządku i ładu na całym terenie, załudnionym terenem zamieszkanym przez Żydów. W szeregach nowo powołanej instytucji służył przede wszystkim przedwojenny frachtowiec, czyli ochroniarze transportów samochodowych, które były wysyłane przed wojną z gotowym towarem do Łodzi, a nawet za granicę Polski. Ich białe opaski z niebieską krawędzią Dawida, które nosili na rękawach kurtki, pozwalały im na swobodne przemieszczanie się po Żelowie, w przeciwieństwie do pozostałych Żydów, którzy mieli zakaz chodzenia po ulicach.

W tym czasie okupanci wprowadzili i w życie nowe zarządzenia i przepisy. Zmienił nazwę pobiskiej Łodzi na Litzmannstadt, a Żelowa na Selow. Wprowadziła nakaz nadawania nowo narodzonym dzieciom drugiego imienia, głównie Kazimierz i Kazimiera, na pamiątkę króla Kazimierza Wielkiego, który sprowadził Żydów do Polski. Kolejne zmiany dotyczyły między innymi zwierząt. Niemieckie władze zarządziły likwidację wielu psów. W gospodarstwie mogły pozostać tylko jeden pies. Skóry zabitych zwierząt używane były, jako podszewki zimowych ubrań wojskowych. Zarządzenie wykluczało zabijanie psów ras żywczyrek niemieckich.

Szmugiel

Nowe czasy wymusiły na ludność zmianę sposobu myślenia. Trzeba było dostosować się do nowych realiów. W czasach karczek na żywność czy niedostatek niektórych towarów ludzie szukali sposobów na lepsze życie. Sprzyjało to spekulacjom cenowymi. Kwaśny handel wymienny często znacznych ilości towaru.

Do Adama Wejmana, przy Kułuskiego 19, jeżdżali się raz w tygodniu gospodarze z okolicznych wiosek. Korzystali z agencjki, huszarki do gryki oraz z gręplarki, którą obsługiwała pani Maria. Była to też doskonała okazja do załatwienia innych interesów oraz wysłuchania wszelkiego rodzaju nowin i plotek. W tym wyznaczonym dniu Niemcy nadzorowali pracę w kaszarach. Pilnowali porządku i przestrzegania zarządzeń władz.

Po całym dniu pracy Adam Wejman zamykał właśnie kaszarę. Zamienił kilka krótkich zdań ze stojącym obok żandarmem, który rzekł, żeby nabrać piombę na kłódkę. Po chwili pożegnali się i rozeszli. Gospodarz odwrócił się jeszcze i zobaczył idącego przez podwórze Franka.

Jak twoja noga? – zapisał.



Chłopiska przed placem targowym. Nowy Rynek. 1940.

Już dobrze, panie Wejman. Nawet już mogę skakać. Frank podszedł do gospodarza i podskoczył kilka razy, żeby udowodnić, że z nogą jest już wszystko w porządku. — Odkład ćwiczyłem, jak mi doktor i uczynek kazał, to w dwa miesiące już biegalem.

— To dobrze. Ho, wiesz, miałbym do ciebie sprawę, jeśli masz trochę czasu?

— Dla pana, panie Adamie, zawsze. Co trzeba pomóc? Przecież? Wytnąć? Lubie panu pomagać, bo pan się na wszystkim zna. Taka „złota rączka”, jak to mówią.

— Dobrze, dobrze — powiedział, uśmiechając się Wejman. Poklepał chłopaka po ramieniu. — Nie o to teraz chodzi i chodzić do domu, bo ci nie sprawy dla innych — dodał ciszej, przeglądając się dookoła. — Słyszałem, że pracujesz w maglu u Posprysyła.

— Tak — odpowiadał Frank.

— I jak? Masz coś grosza z tego?

— Jak jest toboja, to mnie wola i robię, co trzeba. I mam tylko dwa kroki do pracy. Ale prawda mówiąc, to niezbyt wiele płaci.

— Miałbym dla ciebie toboję, ale wiesz, taką, niezbyt bezpieczną. Za to zarobisz trochę więcej, niż czyjes zagnośki, stojąc — spojrzał w oczy chłopaka, czekając na reakcję.

Frank otworzył usta, chcąc o coś spytać, ale Wejman aprze-
dził go.

— Już rozmawiałem z twoimi rodzicami. Ojciec powiedział, że jesteś dorosły i to ty decydujesz. A mama, jak to mama, każda matka boi się o swoje dziecko.

— Pewnie o szmagiel chodzi?

— No, tak. Wiesz przecież, że to teraz intratny interes. Mam trochę układów i kontaktów. Wszyscy na tym skorzystają.

— Panie Adamie, Nareszcie mogłbym robić coś konkretnego. Okaż mi Niemcy do roboty do murarki, kaski u Keetowa są, a ja tylko tę kołbą kręcę. Kiedy mogę zacząć? — zapytał znie-
chępliwiony.

— Najpierw musisz dobrze poznać drogę. Przeszedłbyś ze dwa, trzy razy. Może jakieś znaki byś zrobił w sobie, tylko znaczy — miejscach. Takie w rodzaju jakis konar złamany, czy sił i zapakuj. Ważne, żebyś mógł w nocy rozpoznać. Przez rzekę nie będziesz musiał przechodzić, bo w Myrskach będziesz miał przekupionego granicznika. Jednak ryzyko jest i nie należy grać wazaka.

— O hede nosi!

— Na początek — cukier.

— Trochę będziesz ważyło — zauważył chłopak.

— I tak będziesz mógł zmieścić w plecaku, to weźmiesz. Zresztą na te pierwsze kilometry przed granicą tu składowałeś sobie jakis worek. I powiem, będziesz miał łep, bo przyniesiesz papiero-
w. Adres ci powiem. Zapamiętasz go sobie. Mapę też dostaniesz.

— A skąd pan ma cukier?

— Wejman uśmiechnął się.

— Lubie Frank, mogę powiedzieć. Bo to widzisz, ma go Niemiec. Cóż, ten piekarz, co naprzeciwko piekarni ma. On wynajął u mnie te pomieszczenia na dole z wejściem od ulicy.

Tam zrobił magazyn mąki. No i wyliczył sobie że obaj możemy zarobić, bo jak do mnie, czy do magia przyjadą, to im sprzedam mąkę. Pieniążk pójda do niego. Mąkę zanoszą też do niego, bo tam dostaną za to chleb. Dodatkowo, po za tym, co jest na kartce. No, bo je jest tego chleba z kartek? Teraz z kolei wymyślił, że na cukrze też można zarobić.

Franek zamyślił się chwilę

Chcesz o coś spytać?

Kiedy mam iść z towarem?

Dzisiaj mamy środę, to pan Adam poficzył na palcach, pomrucał pod nosem we wtorek na noc. Za tydzień. Przygotuj się tak jak mówięm.

Franek wyciągnął rękę i podał Wejmanowi.

Nie zawiodę pana, panie Adamie. Dam sobie radę.

Nie wątpię - odpowiedział inżynier. Zawsze był z ciebie sprytny chłopak.



Mapka okolic Żelazna.

Wacław Hilary Gudercki



Zbliżało się lato. Inne niż ubiegłego roku. Dla wielu ludzi nie było ostatniego, radoznego drwonka przed wakacjami. Wiele rodzin przeżywało dramat rozstania z buskami. Wiele rodzin już w ogóle nie było. Ich miejsce zajmowali nowi ludzie. Ale obok tragedii powodowanych wojną, życie płynęło własnym, przykwasowanym do nowej codzienności rytmem. Ludzie kochali się i pobierali, kłócili i gódzili, płakali i śmiali się. Jedni się rodzili, inni umierali.

Nie przeszkadza?" powiedziała Teresa Szukdlańek, wchodząc do Wejmanów.

Chodź, chodź. Właśnie myślałam, co zrobić na obiad - odpowiedziała gospodyni.

Jaki gorący dzisiaj! Muszę trochę odsapnąć i nowiny mam usiadła przy stole i ocierała spoczone czoło chusteczką.

Ci, prawda, to prawda. W tym roku czterech daje się we znak – już drugi tydzień tak piecze. Ale, ale! Co to za nowiny? spytała Wejmanowa.

Wracam właśnie z Rynku. Zakupy robiłam, bo to widział Frank – nie urodziły i chciałam jakiś lepszy obiad zrobić. Przed sklepem spotkałam moją dawną sąsiadkę Wroblewską. Najlepsze źródło informacji w całym Żelowie.

Ba! Pewnie w całej gminie – dodała, uśmiechając się Wejmanowa.

W nowym zmarł Gunderski. Wacław – ten co miał zakład stolarski przy Rynku, też mu były sąsiad. Z naperzec wka. Wiedziałam, że to był ważny człowiek, ale dopiero Wroblewska mi wszystko opowiedziała.

Gospodyni osiadała obok przyjacielek – speszyla na nią z zainteresowaniem, a Szkularkowa kontynuowała:

Wybrał sobie Maryn, że on był pierwszym, po odzyskaniu niepodległości, wótem w naszej gminie. Rządził Żelowem przez osiem lat. Teraz też się udzielał i pomagał ludziom różne sprawy załatwiać. Nawet dostał za teniś premiery Skłodkowskiego Srebrny Brązowy Krzyż Zasługi.

Wejmanowa pokiwała głową.

Dobrzy ludzie zawsze szybko umierają. Ale on podobno chorował ostatnio?

Nie, tak dostał te choroby, jak zaczął wywozić Żydów. Nie mógł się z tym pogodzić, bo znał i przyjaźnił się z nimi. Żeszta też jego sąsiedzi. Chaim Liberman i syn Lewiego to przecież obok mieszkali. Liberman to już w grudniu pojechał na roboty, ale jak na początku roku zabrali Lewiego z rodziną. Wroblewska mówi, że Gunderski widział, jak ich wyprowadzali – jego żonę – dwie coreczki. Jedną nosła salkę, a drugą wózek z salką prowadziła. Niemcy najpierw wyrzucili te zabawki, a później dziesięć na samochód wrzucili. Jeden Hitlerowiec złapał za nogi, drugi za głowę i jak worek kartofli na kopc.

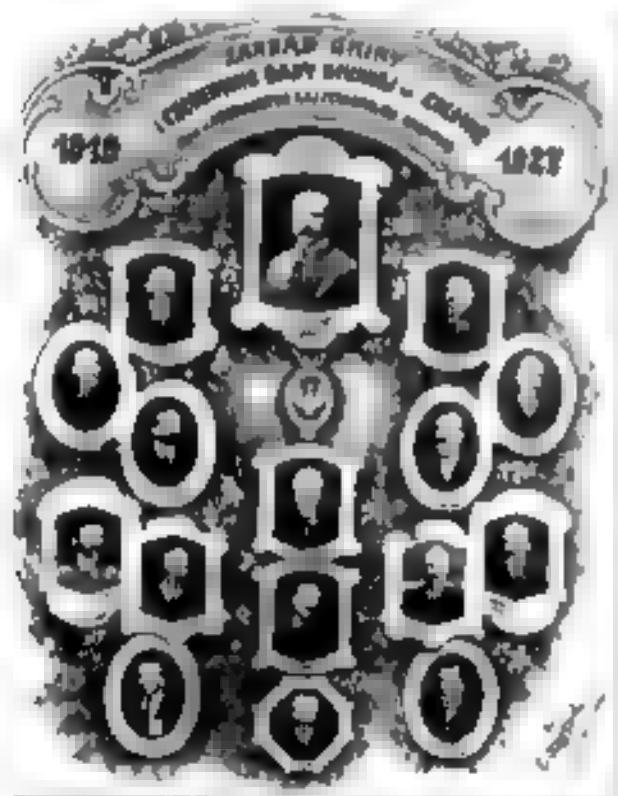
No i jak Gunderski wrócił do domu, to krew mu na mozę się wybiła – do tej pory tak leżał – złapała oddech – mówiła dalej. Pan Bog nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Kiedyś Szwabcy odpowiadają za te zbrodnie, za nieludzkie traktowanie innych. Przecież Żydów też ludźmi, a co im z nimi wyrabiają? Żyją tam to sobie wszyscy razem – nie było tego, że Żyd, Polak, Czech, czy Niemiec. Owszem bywały niesnaski, jak to między sąsiadami – ale nie dlatego, że ktoś trochę inaczej w Boga wierzył. A teraz wzbudzą w ludziach podłość i nienawist. Nastawiają przeciw sobie. Specjalnie – robią. Podpudzą ludzi, byleby tylko luźkie skominać, na wierzach wysunąć, zaradzić, pytać, chęć zemsty. Byleby czuwać, skłamać, oszczerzyć kłamiego. Własnej, w tym uprawiają korzyści. Tak im łatwiej rządzić będzie.

Masz rację, Terentiu. Ta wojna wszystko zmienia. Tylko modlitwa została. Oby Pan Bog odmierzył.



Złoty krzyż zasługi i medalonu
młodzi Żydzi polscy.

Wiedź o śmierci tak znanego uhywatela Żelowa szybko się rozeszła. Przekazywana z ust do ust wiadomość obiegła całą osadę lotem błyskawicy. Listonosz, po otrzymaniu drobnego wynagrodzenia, roznosił ją po okolicznych wioskach.



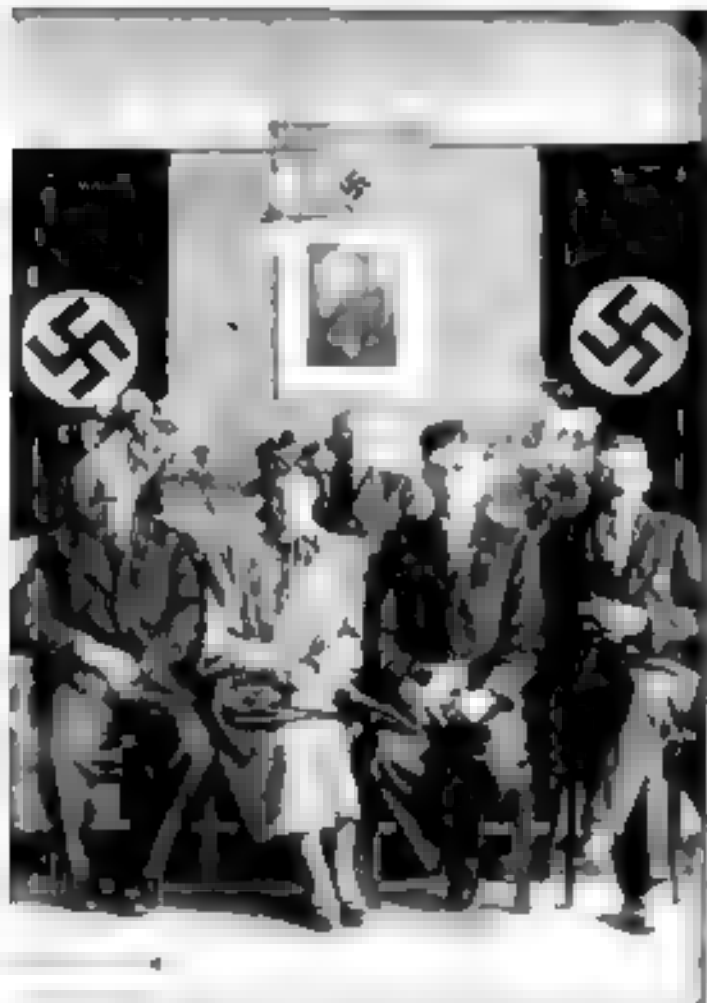
*Zarząd gminy Żelów 1919 - 1927. Wójt: Wacław Gunderski.
Sekretarz: J. Petrykowski. Radni: J. Barikowicz, P. Jersak, E. Zatorski,
F. Krapulinski, J. Pajchert, J. Kozmieszak, A. Gunderski, S. Michalak,
P. Szpyngiel, E. Kiebertnik. Starszy Pomocnik: K. Gupik. Młodszy Pomocnik:
S. Wyrwicki. Wodny: K. Kupec. Komendant Policji: J. Kubla.*

Podczas załobnej mszy świętej w kościele brakowało miejsca. Wiele ludzi chciało pożegnać dobrego, uczciwego człowieka. Wzruszyło to w jego ostatniej drodze. Za karawanem, na którym wisiała tabliczka z napisem „Wacław Henryk Gunderski wot Gminy Żelów 1919 - 1927” asztol się kondukt żałobny. Ludzi, który znał i kochał zmarłego. Niemcy wpadli w panikę. Obawiali się, że tak liczne zgromadzenie może być przyczyną manifestacji i nawoływań do walki przeciw okupantom. Ludzi było tak wielu, że z łatwością mogli by doprowadzić do rozruchów. Podjęli więc działania prewencyjne. Na każdym skrzyżowaniu w drodze na cmentarz katolicki ustawili motocykl z zapalnicą i karabinem maszynowym, a wzdłuż ulicy kołbińskiego postawili porządkową i żołnierzy. Nie odwarzy się jednak na nic.

Berger

Niemieccy okupanci czuli się, jak u siebie. Czuli się w Pellice. Polakami i władzami. Ideologia niemieckich Niemców jednoznacznie wskazywała, że rasa nordycka, to rasa panów. Hitler wierzył im, że stoją na szczycie hierarchii rasowej, a na jej oświeśleń.

Tak właśnie rozumował i działał Johannes Berger. Amatorski malarz Żelowa. Człowiek o niewielkim wzroście, tysi z przerywanym, rozbieganym, szorstkim, filutargowym, wszystkim, wszystkim. Dokładał za okrytych szkieletokularów. Był łasy na komplementy, lubił kiedy mu nadskakiwać. Podczas napadów złości, pisał i kopał. Szczególnie kiedy ktoś przechodził obok niego, nie był czapką, nie ukłonił się nisko. Wtedy nakazywał, aby za pomysłami, wrócić się poszukać na ulicy kołbińskiego, łajna, włożyć do czapki i nakryć ją na głowę. Nienawidził Żydów. Tych tak uważał szczególnie okrutnie.



Wizytka Johannes Berger - Annasari Zelenka

Berger wyszedł ze sw. jej kwatery zaraz po śniadaniu i skierował się w stronę pobliskiego urzędu gminy. Szedł powoli, trzymając w ręce zawinięte w papierową tykac cukierki.

Zjadał je oszczędnie - jednego za drugim. Obok jego nogi pobiegał siedzący na czterech łapach Rex. Na jego widok biegające po lewniku dzieci przestały się bawić i przelękając się, przysiadły u zalewka. W pewnej chwili Berger zatrzymał się i potrząsnął ciekawą odczuwając się łamaną polszczyzną.

Chłopce!

Pierwszy podszedł do niego siedzący na czterech łapach Rex. Wyciągnął łapę po chwilę ją cofnął. Niemiec ponownie potrząsnął tykac dla zachęty.

Waż. Nie boj się.

Pierwsza była większa, niż strach. Chłopiec chwycił cukierka i dał drapak. Widząc to, pozostałe dzieci zaczęły podchodzić po kolei i czepiać się łap. Mężczyzna uśmiechał się do brzo. Nagle machnął ciekawą - słodycze poleciały wysoko w górę i spadając rozsypany się dookoła. Dzieciaki rzuciły się na ławę i łobuz. Berger zaczął się pogardliwie śmiać. W pewnej chwili z pobliskiej bramy wybiegł pędzący Abramek - synek Michała i Anny. Podniósł ciekawą i sięgnął po następne. Nagle twarz Niemca zmieniła się nie do poznania. Stękało, rozbijała się czerwona i groźna.

Rex! - wzywał Berger - Bierz go!

Pakując się na dziecko. Chwycił ostrymi łapami za rękę chłopca i osłonił twarz. Zaczął ją szarpać w prawo i w lewo tak mocno, że całe drobne ciało chłopca obracało się razem z ruchami głowy wilczura. Przerazliwy krzyk rozniósł się echem po całym Ryńku. Krew tryskała dookoła. Pozostałe dzieci, uciekły z powrotem. Przerazeni i przerażeni - przypadkiem świadkowie zaskoczyli - przysiadali się bezradnie. Rozjuszona zwierzę ciągle jęczało - zapalało ubranie chłopca, ale młody Abramek już nie krzyczał.

Dobry! - zakomenderował pan.

Rex posłusznie wykonał polecenie. Odeszedł, przysiadując dziecko w kałuży krwi.

Trudna sytuacja

W połowie 1940 roku w Żelowie było już około 4500 Żydów. Schronienie znaleźli tu mieszkańcy okolicznych miast i miasteczek: Szczercowa, Dziakiszyna, Władawy, Wielunsa, a nawet Łódź. Wszędzie trzeba było gdzieś ukrywać, wyzywać, zapewnić im opiekę. Prezes Judenratu Mayer dwoił się i troił, by jak najlepiej rozwiązać problemy. Stał się za granicę, między innymi do Amerykańsko Żydowskiego Połączonego Komitetu Ratowniczego zw. Jointu, organizacji zajmującej się pomocą Żydom na całym świecie. Prosił o przysłanie gotówki, odzieży i lekarstw. W odpowiedzi uzyskiwał tylko informacje ze działalności organizacji, nie dotyczyły terenu III Rzeszy Niemieckiej, a więc i Kraju Warty, w którym obecnie znajduje się osada Żelow.

W działającym od własny szpitalu, prowadzonym przez żydowskiego lekarza, doktora Rotensztreicha, brakowało miejsca i lekarstw. Utworzona przy nim kuchnia nie mogła zapewnić wyżywienia ze względu na zbyt dużą liczbę podopiecznych. Zapasy żywności były na wyczerpaniu. Brakowało też ciepłych ubrań i opału na zbliżającą się zimą.

Żelowscy Żydzi znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Wszystkie zamieszkałe przez nich miejsca były stopniowo zamykane od terenów zamieszkałych przez pozostałych mieszkańców osady. Za pośrednictwem Żydów i Polaków Niemcy odgradzali je wyłokim, drewnianym płotem. Często granicę tę stanowiły mury kamienne, a barierą psychologiczną był zakaz poruszania się w miejscach publicznych. Każdy Niemiec, każdy żandarm mógł strzelać do tych, którzy nie stosowali się do tego zarządzenia. Żyjąc, przemieszczali się, przechodząc przez podwórka i ploty między komórkami po dachach. Wybijali też otwory w ścianach mieszkań sąsiadujących ze sobą domów. Przejście przez ulicę mogło skończyć się publicznym aresztowaniem lub nawet śmiercią.

Koziołki

Aresztowania zdarzały się coraz częściej. Niemcy przesiedlali Żydów do Generalnej Guberni, kierowali do więzień i obozów pracy. Działania te stanowiły doskonałą okazję do sprowadzania do domu i zabrania najcenniejszych rzeczy. Bogatsi Żydzi sami próbowali wykupić się od deportacji lub przekwaterowania w inne wskazane przez władze miejsce. Jednak nie każdy rodzina dysponowała odpowiednimi, zadawalającymi żandarmów środkami. Ich traktowali, jak zwierzęta. Bili i poniżali.

„Zobacz, co się dzieje!” powiedziała przerażona Maria Wejman.

Pan Adam zerwał się z krzesła i skoczył naprzeciw wbiegającej do domu żony.

Co się stało? – spytał.

Żona przebiegła obok niego.

Chodź do magazynu. Na ulicę musimy wyrzucić.

Przebiegli do pomieszczenia znajdującego się od strony ulicy, w którym stały worki z mąką. Ostrożnie wyrzucił przez okno. Po drugiej stronie stała niemiecka ciężarówka. Kilku uzbrojonych żołnierzy obserwowało teren.

Do Koziołków weszli – wyszeptala pani Maria.

Po chwili w domu żydowskiej rodziny Koziołków otwarto się okno i na ulicę zaczęły wylatywać ubrania, sprzęty domowego użytku, a nawet niektóre większe meble. Zaraz potem w furtce pojawili się żandarmi. Prowadził Jankiel Koziołka. Miał poszarpane ubranie, krzywo obcięta, poszarpaną brodę i potargane włosy. Niemiec, który siedział za nim, uderzał go co jakiś czas kółką karabinu pod kolana. Mężczyzna padał na twarz, podnosił się, dawał dwa, trzy kroki i znowu padał po uderzeniu. Po kolejnym upadku nie miał już sił, aby powstać. Za nim, zawadając głośno, szła jego żona. Rogza Hinkowscy nakazali siedzącym w ciężar-

Rudolf Dalke

Ponad rok minął pod niemiecką okupacją. Był to czas wielkich zmian w życiu wielu ludzi. Czas wytężonej pracy i troski o kraj i najbliższe osoby. Dopiero podczas długich jesiennych wieczorów ludzie mogli odpocząć i porozmawiać. Schodzili się więc sąsiedzi i znajomi. Pili herbatę, piwo i mocniejsze trunki. Mężczyźni rozmawiali przeważnie o polityce. Kobiety o tym, gdzie można dostać coś do jedzenia, gdzie kupić lub przeschłubować słoninę, cukier. Jednak nawet podczas takich spotkań trzeba było uważać, do kogo i co się mówi oraz rozstać się przed godziną połojną.

Jesienny zimny deszcz sypał nieustannie. Na dworze było przenikliwie zimno, ale w mieszkaniu państwa Figurów pałęcy się w piecu tory, skwiercząc radośnie, roznosił po izbie miłe, przyjemne ciepło. Przy stole siedziało kilku mężczyzn. Rozmawiali. Gospodyni siedziała razem z nimi.

- Otwórzcie - rozległo się tuż za oknem jednocześnie z głośnym pukaniem w szybę.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Pani Marianna przeregnała się i spojrzała na męża. Figura delikatnie dotknął jej rękę, po czym bez słowa wstał i poszedł otworzyć drzwi. Do pomieszczenia wszedł Dalke.

- Można? - spytał.

- Siedaj, Rudek.

Pan Adam zaprosił znajomego Niemca do środka.

Ale się wystraszyłam. Figurów złąpała głębszy oddech.

A, co? Macie coś na sumieniu? - spytał gość wieszając przy wejściu przemoczony płaszcz.

No, wiesz, takie czasy, że nie wiadomo kogo licha przyniesie. Zwłaszcza przy takiej pogodzie - odpowiadał Adam.

Słyszałem, słyszałem. O duchach opowiadaliście to teraz macie stracha - zaśmiał się Niemiec.

Figura spojrzał na znajomego.

- Podłuchiwałeś pod oknem?

Nie tylko ja. Macie szczęście, że akurat o duchach mówiliście, bo bym was nie wybrał. spojrzeli na niego, czekając, co powie dalej.

Z godziną będzie, jak przyszedł do mnie ten rudy Krenz. Ten, co po sąsiedzku ze mną mieszka i ma drewnianą nogę. Z zandarem przyszedł. Mówił, że u Figurów zebrało się kilka osób i o polityce rozprawiają. Chcieli, żebym z nimi poszedł i na gorącym was przyłapał. No to stałismy jakiś czas, pod waszym oknem i słuchaliśmy, o czym tak dyskutujecie. Wtedy właśnie o tych duchach mówiliście. Chcieli dłużej czekać, ale mówię im: przecież słyszycie, że o „dupie Maryny” gadają, a nie o polityce, zechy dali spokój, bo Figura to porządny chłop i znam go od dziecka. No i dali spokój, ale na przyszłość, uważajcie. Zwłaszcza na tego rudyka.

Dziękuję. Adam spojrzał na Dalkego. Człowiek nie może być pewny i bezpieczny nawet we własnym mieszkaniu.

- Daj spokój - odpowiedział Dalke - Ile to już lat się znamy? Ile to razy w skórę od oczów dostaliśmy za to heco, co je razem robiliśmy? Dajcie coś lepiej na rozgrzewkę, bo zmarzłem pod tym oknem, jak licha.

Pani Marianna rozdała kieliszki i wstawiła wodę do zagotowania.

- Herbaty zrobię, ale cukru brakło.

To nie, może być bez - machnął ręką i zwrócił się do siedzącego obok Adama Weymana.

A ty, to nawet ciekawie opowiadasz. Tylko dobrze nie usłyszałem. Gdzie to tak straszny?

U mnie w domu - odpowiedział, nie wdając się w szczegóły, pan Adam.

- A z jakiej to przyczyny? - dopytał Niemiec.

Mężczyzna odchrząknął i dodał:

No, bo w tym domu kiedyś był sąd. Jeszcze przed Wielką Wojną. Sędzią był Karol Pospiszył. Ludzi tam przesłuchiwał. Złodziejców i morderców na śmierć wysyłał. Sporo grzeszonych dusz teraz tam się błaga.

Ja tam w duchy nie wierzę, ale ciekawa, nieznaną mi historią. No, ale teraz nową piszemy. Przetrwają tysiące lat.

Siedzący dotąd cicho Józef Rogut, właściwie pękł przy Siemkiewicza, uśmiechnął się lekko pod nosem. Nie pozostało tu niezauważone przez Niemca. Wstał raptownie i podparł się oburącz na blacie stołu.

A tobie Rogut, co tak wesoło? – powiedział podniesionym głosem.

Pan Józef wstał bez słowa i zaczął się zbierać do wypicia.

Powiedz! Co cię tak śmieszy? Może powiesz, że nie mam racji? Po mandaciku zepjdzie ci ten uśmiech z twarzy.

Bo nie masz – nie wytrzymał Jurek. Sam wciąż posłuchaj. Przecież to śmieszne, co mówisz. A twoje mandaciki mam w dupie. Tak jak i ciebie i waszą tysiącletnią Rzecz – wyszedł szybko i trzasnął drzwiami.

Zrobiło się zupełnie cicho. Wszyscy zamarli i czekali, co się stanie. Po chwili gospodarz odwrócił się i postawił przed Niemcem kieliszek.

Napijmy się sznapsika – nalał bimbura wzburzonemu Niemcowi.

Daj spokój. Wiesz przecież, jak on jest. Zresztą zawsze był z niego nerwus. Grada, co mu ślina na język przyniesie, o przecież tak nie myśli.

Dalke wypił i usnął. Odezwał się dopiero, kiedy ochłonął.

Ważnego udaje. Ja mu jeszcze pokazę, kto tu jest ważniejszy. Po chwili wstał. Idę. Nerwy mi zepsuł. Może na powietrzu ochłone.

Po ich wyjściu pan Adam próbował uspokoić pozostałych.

Nie ma nic zrobić. Porozmawiam z nim jutro. Najwyżej mandatem to się skończy.

Ja też idę – powiedział Wejman. Tylko, że właściwie to przyszedłem do ciebie z jedną, ważną sprawą, ale nie chciałem przy Józku.

No, mów. O co chodzi? – Wejman podszedł do okna i rozejrzał się.

Deszcz ciągle padał, a wiatr targał na wszystkie strony ledwie widocznym w ciemnościach, rosnącym opodal bżem.

Bo widzisz. Potrzebuję pewnego dojścia do ludzi, którzy pracują w Gminie. W naszej, czy w innej. Do urzędników. Rozumiesz?

I gdzie w mig załatwić, o co chodzi.

Ja się w takie rzeczy nie bawię. Nie bawię się i nie chcę. Widzisz, co się dzieje? Hyc „kulos” pod oknem stanie i „u” prosi. A on na mnie zawzięty. Jeszcze sprzed wojny. Tylko nie wiem, o co. Zresztą nie ważne, co sobie obzduriał. Dom, że muszę się pilnować.

Nie przejmaj się. Wejman podał gospodarzowi rękę na pożegnanie. Doskonale to rozumiem. Tylko rozmowy nie było zarymować.

– Jasne! Ada! Za kogo ty mnie masz?

Pani Marianna odprowadziła gościa do drzwi. Nachyliła się i szepnęła mu do ucha.

– Ja ci pomogę. Tylko na razie – rza.

Padający od kilku dni deszcz ustał i w nocy przyszedł lekki mroz. Zmroził kałużę, okrył warstwą lodu gałęzie drzew, ściany domów i ziemię. Marianna Figura postanowiła jednak, że jest to odpowiednia pora, aby wybrać się na cmentarz. Władnie wtedy gdy jak przypuszczała, nikt jej tam nie zobaczy. Przeszła kłokoma alejkami. Później pomiędzy nagrobkami. Co jakiś czas przystawała i notowała coś na kartce. Nagle wiatr poruszył mocno, porzbawionymi liśćmi gałązkami wysokich brzoź, rosnących wokół

grobow. Rozepierała się ostrzeżenie donkoła i schowała karteczkę do kieszeni, po czym pospiesznie wyszła z cmentarza. Szła do kościoła. Do proboszcza Zycha. Zastąpiła go w zakrystii

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na wielki wiek — odpowiadał ksiądz, a widząc, kto przyszedł i domyślając się w jakiej sprawie, zamknął za nią drzwi. Lepiej, żeby te sprawy nie wyszły poza te mury. Niebezpieczne czasy nastały — trzeba się pilnować, ale kiedy tylu ludzi w potrzebie to naszym świętym obowiązkiem, jako chrześcijan i katolików jest niesienie pomocy drugiemu człowiekowi — dodał.

Po krótkiej rozmowie z proboszczem, Figurowa wstąpiła do Wejmanów.

— Dzień dobry Marysio — powiedziała, wchodząc.

— Dzień dobry. Nie spodziewałam się nikogo w taką pogodę, a co? dupiero ciebie — odpowiadała gospodyni. Masz taki kawał drogi. Chyba, że coś ważnego?

— Nie, nie. Byłam w kościele i pomyślałam, że was odwiedzę.

— Suda!

Usiadła na krześle zaraz przy wyjściu.

— A twojego, co nie ma? Ho ja wolałabym to tylko na chwilkę. Obiad trzeba robić.

— Mariu spojrzaj na gościa ze zdziwieniem.

— Chyba jest w kaszarni. Coś tam naprawia.

— To dzisiaj otwarte? Przecież jutro środa.

— No, co ty? Gospodarz to zawsze znajduje sposób, żeby się dostać do swojego — uśmiechnęła się wesoło.

— To leć, tylko słowo mi chciałam przekazać od mojego Adama — skłamała.

Pożegnała się i wyszła. Natknęła się na gospodarza na podwórku.

— A, co? to cię sprowadza w takie licha? — spytał bez powita.

— Ma

— Dzień dobry, Adamie. Powiedziałam, że załatwię tę sprawę, to załatwię. Ja słów na wiatr nie rzucam. Tylko leć, ma tego być i dla kogo? Dla mężczyzny? Czy dla kobiety? I w jakim wieku? I rysopis potrzebny — szepnęła mu do ucha.

Wejman w ten domyslił się o czym mowa. Pociągnął ją za rękę i weszli do kaszarni.

Dla kobiety i mężczyzny — powiedział i podał dane, które Figurowa dokładnie zanotowała.

Już rozmawiałam z księdzem Zychem. Teraz tylko metryk wyszuka i dam je mojemu znajomemu. Tobie mogę powiedzieć. Jakomy się nazywa? Jamów. W gminie w Buczkę pracuje i ma dostęp do takich druków. Później Władek Kabik, co obok nas na Kosciuszki mieszka, zrobi rekizę.

— Ten, co na nogę utyka? — spytał truchę zdziwiony.

— Ten sam.

— Tylko proszę cię, bądź ostrożna — dodał.

— Nie trzeba mi tego mówić. Nawet mój mąż nie za wiele wie.

— A ile to będzie kosztowało?

— Oho, pieniędzy nie chcę. Chcę po prostu pomóc ludziom. Czy to Polak? Żyd, czy jakiś inny, toż to przecież człowiek. Przecież my też nie dla pieniędzy to robimy. Dam im trochę jajek albo kurę z podziękowaniem.

Wejman spojrział na kobietę i dodał:

— A swoją drogą, to trzeba mieć zdolność, żeby taki dokument tak podrobić, żeby nikt się nie poznał.

— Ty wiesz, jak on to robi? — odpowiedziała Marianna. — Przekazywał mi, jak pieczęć podrobić. Na gotowanym jajku odbija!

Nigdy bym na to nie wpadł — odrzekł z podziwem Wejman.

Dokumenty będą za kilka dni. Przyniosę.

Pożegnała się i wyszła z kaszarni, tak jak weszła — przez okno.

W niedzielne południe Figurowa przyszła do Wejmanów razem z mężem. Na herbatkę, jak to określila — na kielionka, jak twierdził jej mąż. Posiedzieli, pozartowali, pograli w karty. Na

odchodnym pan. Marianna wyjęła z torbki niewielkie zawiesz-ko i położyła je w korytarzu na blacie szafki. Przykryła leżącą obok kapotą.

„Masz tu, co trzeba. Wszystko załatwione” – powiedziała do odprowadzającego ich gospodarza i dodała ciszej: – Teraz twoja kolej.

Figurowie wrócili do domu w dobrych humorach. Niesetki czekała ich niemiła niespodzianka. W mieszkaniu byli zandarmi.

„Marianna Figura?” – zapytał gruby Niemiec w czarnym, długim płaszczu. – Pójdiesz z nami!

Dwóch szwabów wyprowadziło struchlałą ze strachu kobietę. Na szczęście męża – dzieci zostawiła w spokoju. Adam Figura usiadł na brzoza łóżka. Błady – przerażony próbował się uspokoić. Zastanawiał się co w danej chwili może zrobić. Jak pomóc żonie. W końcu zawołał syna.

„Jeszcze jest trochę czasu do godziny południowej. Złapiesz po-bież do Wejmanów?”

Przerażony chłopak skinął głową.

„To biegnij i powiedz, że Niemcy mają aresztowali.

Krzyknął jeszcze za nim.

– Kosiek! Tylko Żeroneckiego, nie przez Rynek!

Wejman zbladł po informacji, jaką otrzymał. Zaczął się zastanawiać. Hui przekłamał, że sprawa dotyczy również jego i jest tylko kwestią czasu, kiedy przyjdą go aresztować.

– Nie jest dobrze – powiedział do żony.

Maria usiadła przerażona obok niego.

Marianna nie wie powie – odczekała się po chwili.

Powie, czy nie powie. Może już bez niej wiedzą? Musimy działać. Wolny mi tu Janek. Niech idzie do Franka i powie, że mam ważną sprawę i niech tu natychmiast przyjdzie. Ty z dziećmi pakujcie się i pojdziecie do twojej siostry.

Zamyslił się, a po chwili przedstawił dalszy plan działania.

Ja pójdę na noc do kuzyna.

Przerwał mu Franek, który wpadł do kuchni Wejmanów, jakby się paliło.

„Słuchaj, bo to niezwykle ważne, co teraz powiem” – rzekł do chłopaka, sadzając go na krześle na wprost siebie. – Jeszcze dzisiaj w nocy przeprowadzasz dwie osoby. Nie czekamy do wtorku na tego przekupionego Niemca. Więc pojdziecie przez rzekę. Papiery są gotowe. W Piotrkowie znajdziesz pod ten adres – podaj Frankowi kartkę. Zapamiętaj i spój! Iam powiesz, że wszystko załatwione tak jak to było uzgodnione. Teraz idź się przygotuj. Za piętnaście minut wychodzicie.

Franek pognął do domu, a Wejman zwrócił się do żony.

„Idę im powiedzieć, a wy uważajcie na siebie.

„Może jakieś kanapki im zrobić na drogę?” – spytała Maria.

„Teraz martw się o siebie i o dzieci. Nie było można to pomóc namy. U nas kawowego nie mieli, ale gdańsk też nie chodzili i nie narzekali, bo jak to mawia Wyrąbkiewiczowa: „Lzy kłak, czy wełna hylety kucha była pełna”.

Areszt

Pani Marianna trafiła do aresztu, który znajdował się w pi-dworku przegiętego przez Niemców domu państwa Pergów. Cały noc nie spała. Rano, zmęczona i wystraszona kobieta została wezwana na przesłuchanie. Posadzili ją na ławeczce naprzeciw biurka, za którym usiadł Wachtmeister Otis.

„Pewnie wiesz, dlaczego tu trafiłaś?” – spytał spokojnie Niemiec.

Figurowa nie odpowiedziała.

Zadałem ci pytanie – powtórzył równie łagodnie.

Kobieta siedziała z opuszczoną głową.

Aufstehen – ryknął nagle, aż pouskoczyła ze strachu.

Po chwili powon wstała. Żandarmi opanowali wzburzenie i kontynuował przesłuchanie.

Wyjaśnię ci to tylko raz. Albo będziesz współpracować i powiesz wszystko, co wiesz, albo pozahujesz, że się urodziłaś!



(Członek niemieckiej partii politycznej NSDAP
mówi do kobiety)

Rozumiesz? Podał jej pod brodę krótki pejs i spojrzał prosto w twarz.

Kobieta skinęła głową na znak, że zrozumiała.

No, to teraz porozmawiamy
Znasz niejakiego Jana Figurę?

Pani Marianna spojrzała na Niemca. Zrozumiała, że zatrzyma ją na spokojnie z nią przyczyni. „W jakim razie o takich sprawach nie nie wiedzą?” pomyślała i nawet trochę jej ulżyło.

Niemiec mówił dalej.

Został za nim rozesłany list gończy. Uciekł z więzienia w Hesse, gdzie siedział za niesubordynację i kłótnię w marcie. Spojrzał w dokumenty leżące na biurku w Miltzow podał. Wzrostem Rügen. Pytam ponownie. Znasz Jana Figurę?

To mój najmłodszy syn – wyszeptała kobieta.
Kiedy widziałas go ostatni raz?

W sobotę. Jak go w niedzielę od obiadu zabraliście i wywieźliście na roboty do Niemiec.

Kłamiesz! krzyknął.

Kobieta spojrzała na Niemca.

Widziałam go przez chwilę kilka dni temu. Na drodze do Wronki. gdzie byłem z moją matką. Wyszli nam naprzeciw, kiedy wracaliśmy do domu. Powiedział tylko, że musi uciekać. Pożegnał się i tyle go widzieliśmy.

Widziałeś, że miał uciekać.

Tego nie pamiętam, żeby co o tym mówił.

Kto go ostrzegł? Kto mu pomagał?

Tego też nie mówił.

Następnie zastanowił się chwilę.

Jak powiedział, że dwa tygodnie, to ci się pamięć odświeży. Wiedział, że to było. Odprowadzić więźnia – rozkazał.

Następnego dnia pan Adam Figura zasięgnął języka. Wiedział, że to może mieć duże kłopoty i że to poważna sprawa. Nie chciał się obijać. Pojechał do Poznania, do swojej kuzynki.

Tam wiedział, że pracuje jako sekretarka do kontaktów z polskimi więźniami w dużych zakładach zbrojeniowych. Dyrektorem fabryki był jeden z najważniejszych ludzi nie tylko w kraju. Wtedy, ale i w całej Rzeczy. Kobieta udała się podsunąć do pod-

pisu pismo nakazujące natychmiastowe zwolnienie Marianny Figury oraz oczyszczenie jej z zarzutów

Po przyjeździe Figura natychmiast udał się do Schutzpolizei. Dyżurny wprowadził go do kancelarii.

Czego? – spytał siedzący za biurkiem zandarm Oskar Kube

Twierdzi, że ma ważne pismo – wskazał na stojącego z tyłu mężczyznę

Kube odebrał list – zaczął czytać. Po chwili stanął na baczność i dokończył już na stojąco. Potem spojrzał na interesanta z wyrażeniem niezadowolenia i podejrzliwości, a następnie zwrócił się do zandarma

Zwolnić więźnia

Po 2 dniach Marianna Figura wyszła na wolność. Nie wydała syna, ale dom Figurów był pod stałą obserwacją Niemców. Rodzina nie mogła więc zapewnić mu schronienia. Z pomocą przyszła sąsiadka, żona zandarma Masulicha i jej brat Karol Jersak, ten który ostrzegł Janka. Natomiast Figurowa, znając odpowiednich ludzi w Wałewicach i w Rucyku w ciągu dwóch miesięcy załatwiła dla syna nowe dokumenty. Dzięki temu, pod nowym nazwiskiem – Marian Ciech, Janek dobruwolnie wyjechał na roboty do Niemiec.

Jupp Fuchs

Już w grudniu 1939 roku Niemcy przeprowadzili w Żelowie policyjny spis ludności. Na ogólną liczbę 11889 mieszkańców gminy Żelów do niemieckiego pochodzenia przyznali się 1941 osób, ale językiem niemieckim posługiwało się tylko 1789. Niemiecka po ułku zmierzala w kierunku powiększenia liczby obywateli Trzeciej, Rzeszy poprzez przekonanie ludności zamieszkującej, podbite tereny do zmiany przynależności narodowej. W tym celu opracowano i wprowadzono z dniem 3 marca 1941 roku tzw

Deutsche Volkliste. Ludzie, którzy ją podpisywali, pochodzili głównie z rodzin, w których istniały niemieckie bądź czeskie korzenie. Podpisanie listy nie zawsze było w zgodzie z samieniem tych ludzi czy związane z poparciem dla Niemców i ich polityki. Wiele osób było zastraszanych lub przekupywanych. Niektórzy podpisywali listę upokarzając własnych korzyści, ale nader często dla ratowania zdrowia i życia członków rodziny. Tych, którzy nie posiadali niemieckich korzeni lub nie przyjęli niemieckiego obywatelstwa, traktowano jak niewolników

Wiosną 1941 rozpoczęła się kolejnymi łapaniami aresztowaniami, zarówno wśród Żydów jak i Polaków. Niemcy przychodzili, kiedy chcieli. Zabierał rodziców dzieciom, dzieci – rodzinom. Wywozili i rozdzielał całą rodzinę. Płacz i tęsknota zagłósł w wielu domach. Ludzie mieli dość tego stanu rzeczy. Złość i chęć zemsty była powszechna. Do odpowiedzialnego za aresztowania i wywozki w głąb Rzeszy kierownika Arbeitsamtu zaczęły docierać informacje o groźbach kierowanych do niego i do jego rodziny

Jupp Fuchs, mężczyzna średniego wzrostu o sudej cerze ubrany był w czarne, skórzane spodnie, czarną skórzaną kurtkę, długie wojskowe buty i wojskową czapkę z daszkiem oraz motocyklowe gogle. Jeździł po wsiach na swoim czarnym motocyklu i łapał ludzi. Organizował łapanie na ulicach Żelowa. Coraz bardziej dawał się we znaki mieszkańcom gminy Rujny i gminy Żelów. Z gospodarstw brał co chciał: gęsi, kury, jaja. Ludzie zkorczyli mu coraz częściej. Powziął więc pewne środki ostrożności.

Z korytarza, w którym pacjenci czekali do doktora Łuczyńskiego dobiegł hałas. Po chwili do gabinetu wtargnął ubrany w mundur NSDAP-owca, Jupp Fuchs

Panie doktorze – mówił po niemiecku – chciałbym, aby pokazał mi pan mieszkańca na poddaszu

Mam pacjenta – odpowiedział również po niemiecku lekarz.

„On wybaczy, ale nie przywykłem czekać” powiedział Niemiec i wskazał na drzwi.

Doktor spełnił zadanie i opróżnił tego państwa. Po krótkich, powierzchownych oględzinach Fuchs powiedział:

„Sprawdzam się do pana. Ma pan trzy dni, żeby opóźnić mieszkanie i pomalować. Pana zostawiam na dół. Gdyby mi się coś stało. Nawet gdyby polscy handwcy tylko próbowali coś zrobić mi lub mi je, razem to pan za to odpowie. Pan – pana rodzina – wyjaśni krótko i wyszedł.”

Od tej pory rodzina Fuchsa wchodziła się u Luczynskich, jak we własnym domu. Korzystała ze wszystkiego, kawy i jak chcieli. I po codziennie prowadził na podwórku ćwiczenia z maszyn dla lokatorów. W niedzielach w Organ zwołał dla nich regularne szkolenia samochodowo motocyklowe. Najmłodszy w szeregach przodków węgier ogłosił uczył ich strzelania na stumetrowym torze strzeleckim. Jego żona zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa, ogrodnictwem i wychowaniem córek.



Stare zdjęcie z pary Fuchsa. Prawdopodobnie lat 30. XX w.

Getto *

W kwietniu 1941 roku przez zelewskiego Judenratu ze stał zobowiązany do namówienia na wszystkich Żydów wysokiej kontrybucji. Zachłanny komisarz Berger zażądał coraz to więcej pieniędzy, złotych i innych kosztowności. Pod groźbą aresztowania i sadzenia w getcie zobowiązał wszystkich Semów do dobrowolnego odkładania swojego mienia. Tymczasem Żydzi, nawet najbardziej, zaczęli brakować środków na wykupienie się od przesiedlenia. Radził sobie jak tylko mógł. Pracował po kątach w małych, rzemieślniczych warszatek, przemycił przez granicę artykuły żywnościowe i wyprodukowane przez nich towary, handlował pomimo istniejących zakazów.

Rodzina Berkowiczów nie wykoła się zle. Nie narzeka i nie brak środków do życia. Sorkom szyi, Sorka sprzątała, a Dawid był w Szachie Potządkowej. Nie lubił swojej nowej pracy, ale nie miał innego wyboru. Miał też z rąk wykonywanego zajęcia, dodatkowe profity. Jako policjant miał dodatkową rację żywnościową i mógł swobodnie poruszać się po Zakęcie. Dlatego sobie, że przy tak znacznej, cenniej rosnącej liczbie ludności, zgromadzone na tak niewielkim obszarze, prawo musi być przestrzegane, a on pilnuje porządku. I tak, przez wzięcia grubiejszymi, a pilnując przestrzegania hipotetycznej zapobiegawczych, bycia i zło się kims ważnymi i potrzebnymi. Niestety musi też pilnować przestrzegania niemieckich zarządzeń, a to nie przynosi chwały ani jemu, ani jego rodzinie.

Placik, placik, powiedział Hitlerowi Rensner, chyba, że jeszcze raz chcesz uderzać.

* W rzeczywistości, jak pisał, przynajmniej dla niemieckich Niemców, nie było to tak proste, jak się wydaje. W rzeczywistości, jak pisał, przynajmniej dla niemieckich Niemców, nie było to tak proste, jak się wydaje.

Żyd otarł ręką zakrwawiony nos i bez słowa podał małą, złotą obrączkę.

Nie widzisz. Jak się z wami grzecznie pogada, to zawsze coś tam się znajdzie. Niemiec uśmiechnął się do kolegi stojącego obok.

Z niru to od razu trzeba tak grzebać. Zaraz od progu. Dobrze mówię. Max powiedział Schwemberg spoglądając na stojącego za nim, ubranego w czarny mundur gestapowca. Moxa Zielke.

Zawsze tak mówiłem. zachnął się Niemiec i z pogardą splunął na Żyda.

To idziemy dalej panowie. Rensner pierwszy wyszedł z mieszkania.

Chodźmy teraz do knajpy. zaproponował Zielke. Później zobaczymy, co tam nasze Żydki zbierały.

W sąsiednich kamienicach trwały rewizje prowadzone przez żydowskich policjantów.

Wiesz przecież, że musimy im coś zanieść. Dawaj i bez gadania. Nie chcę za ciebie kuli. Justaś powiedział do starszego, poswintego już Żyda jeden z ważniejszych ludzi w getcie. Miltek Frenkie z Bielska – komendant żydowskiej policji w Żelowie.

Dawid! Sprawdź za szafkami i pod nimi.

Dawid przewrócił nocną szafkę. Od spodu przyklepiona była niewielka paczka.

Coś znalazłem. rozwinął papier. Są pieniądze. pokazał koleędzie spory stos banknotów.

Gospodarz rzucił się, aby odebrać swoją własność.

Zostawcie chociaż połowę. krzyknął z płaczem. Za co będziemy żyli?

Przykro mi, ale musimy je zabrać.

Miltek schował gołówkę do kieszeni i wyszedł. Na korytarzu rozglądał się i wyjął pieniądze. Przeliczył.

Połowa dla ciebie. powiedział do Dawida, podając mu banknoty.

Nie chcę! Co robisz? Miltek! Nie możemy tak...

Co nie możemy? Bierz, bo jak nie, to jutro twoja rodzina pojedzie w pierwszym transporcie.

Dawid spojrzał na niego przerażony.

Mógłbyś tak zrobić?

Mogłbym, nie mogłbym? Jak będzie trzeba, to tak zrobię. I teraz każdy o siebie musi się martwić. Takie czasy. Albo ty, albo on. wskazał ręką na drzwi mieszkania, z którego przed chwilą wyszli. Za te pieniądze możesz kupić jedzenie, albo nawet życie.

Dawid ukrył pieniądze na swoim dawnym strychu. Przysięgnął sobie, że ich nie ruszy, a przy pierwszej okazji, odda własnie-
kowi.

Z wiadomości, jakie docierały do osady od osób spoza Żelowa, Żydzi wiedzieli, co dzieje się w pobliskich miastach, miasteczkach i na wsiach. Słyszeli o aresztowaniach, wywozkach, przesładowaniach ich współwyznawców. Słyszeli o działającym już od ponad roku Piotrkowskim getcie. Wiedzieli, co dzieje się w pobliskim Białymostku. Dostrzegali też zmiany na gorsze, jakie zachodziły w Żelowie. Wzorując się na utworzonej w Białymostku strefie przeznaczonej „tylko dla Żydów” Niemcy wprowadzili w Żelowie podobne rozwiązanie. Z początku granice tej strefy były umowne. Z czasem jej część została w kilku miejscach ogrodzona płotem i drutem kolczastym. Bramy nie były pilnowane, tylko oznaczone tablicami informacyjnymi „Achtung Juden!” Wyjatek stanowiła brama prowadząca przez kamienicę Lewiego do jego dawnej fabryki. Tej dzień – noc pilnowała za-



Dwie kobiety przy placu getta. Obok kobiety przy pompie i wózek z ch. getta – teren wokół fabryki Lewiego

Na początku '94 roku ponad 6000 wyznawców religii mojżeszowej zamieszkiwało tereny od kamienicy Liebermana przy Królewskiego 9 do ulicy Wschodniej i dalej, aż do domu Gunderskich przy Królewskiego 3, czyli teren wokół fabryki Lewiego. A także teren ograniczony kamienicami od północnej i zachodniej strony Rynku oraz ulicami Żeromskiego i Kosciuszki – niemal do ulicy Szkolnej, czy i teren, na którym znajdowały się zgłiszcza bóżnicy. Natłok ludzi na tak małych obszarach powodował wiele problemów. Największe miały ci, którzy przybyli spoza Żelowa. Nie wiodło się im najlepiej. Chodzili w podartych ubraniach i w ichych butach. Futra i pieniądze Niemcy zabrali im już zimą. Byli wystraszeni, głodni i schorowani. Trudna sytuacja, zwłaszcza w okresie zimy i wiosny sprzyjała chorobom.

Brak odpowiedniego wyżywienia i niedostatecznej higieny spowodował epidemię tyfusu. Służby sanitarne pod nadzorem doktora Rotensztreicha wyznaczyły dla zarazonych miejsca izolacji i wyznaczyły kilku sanitariuszy do opieki tylko nad tymi chorymi. Prezes Meyer ogłosił zbiórke funduszy na szpital. Środek finansowy pochodzący ze szmuglu przekazane przez bogatszych Żydów umożliwiły zakup dodatkowych leków i żywności. Dzięki temu staraniom udało się wkrótce wygasić zarzewie choroby. Zespitałe warunki uległy poprawie.

Widząc potrzebę pomocy chorym i niedolężnym, Dawid postanowił oddać wszystkie zebrane nielegalnie pieniądze na potrzeby szpitala. Wyrzucił sumienia. Już wcześniej tłumaczył sobie, że to nie jego pieniądze i powinien natychmiast je oddać. Jednak nie robił tego. Myślał o tym, co powieciał mu Millek.

„A jak przyjdzie zarazna godzina?” Niemcy są pazerni na pieniądze.

W końcu zdecydował. Jednak kiedy poszedł wydać pieniądze ze skrytki okazało się, że jest pusta. W pierwszej chwili rozjeżdżał się wystraszony dookoła.

Ktoś musiał mnie wstrzymać, kiedy je tu chowałem – wyszeptał.

Po chwili usłyszał mu. W końcu się ich pozbył. Już nie będzie o nich bezustannie myślał. Wyrzucił sumienia, jednak powróciły. Nie oddał pieniędzy i nie pomógł ani swojej rodzinie, ani innym ludziom. Czuł się, jak złodziej, którego okradli.

1 kwietnia 1941 roku, czwartek

„Jeszcze mam ochotę rzucić to wszystko i żyć ze stągiewą i innym człowiekiem. Boję się tego. Nie chcę. Chcę mi się krzyżować po prostu. Do czego zdolny jest człowiek, kiedy stałe w sytuacji „bez wyjścia” lub kiedy musi wybrać „mniejsze zło”? Staram się myśleć o tym jak najwięcej. Żyję jak w jakimś letargu i o

prostu wykonuję polecenia i czekam, aż będzie lepiej, aż to wszystko się skończy, bo przecież, kiedyś musi. Wszystko ma swój początek i koniec. A może, jednak nie? Może nie ma początku i nie ma końca? Mam mętlik w głowie. Rodzina jest najważniejsza. To ja teraz muszę o nich zadbać.

Czytałem kiedyś o rewolucji we Francji. Ludzie głodowali, więc kradli i zabijali, ale czy to ich usprawiedliwia? Czy można wykaść na śmierć drugiego człowieka za kawałek chleba? Czy byłbym do tego zdolny dla ratowania Miriam?

Dostosowując się do trudnych, ciągle pogarszających się warunków, Żydzi próbowali prowadzić w miarę normalne życie. Wrodzona zdolność przetrwania i spryt połączony z pilnowaniem własnych, żydowskich interesów oraz wiara w Boga i zaszczerpiona idea o Narodzie Wybranym dawały im tę siłę. Dlatego myśląc o zdobyciu środków do życia nie zaniedbywali też kultuwowania własnych tradycji i zwyczajów. Z myślą o najmłodszym pokoleniu prowadzili nauczanie przedmiotów takich jak: matematyka i język polski, ale szczególny nacisk kładli na naukę religii. Zajmowała się tym Chana Sura Tajtelbaum, która już przed wojną prowadziła kursy religijne. Zakazane przez Niemców nauczanie groziło aresztem i wysłaniem do obozu koncentracyjnego, a w najlepszym razie pobiciem do nieprzytomności.

Komendant zelowskiej Schutzpolizei – Rapsch stanął w rozkroku na środku Rynku i nadzorował wykonywanie wydanych przez siebie rozkazów. Znając surowość swojego przełożonego, żandarmi dwóili się i troili, aby polecenia wykonać szybko i dobrze. Prześcigali się wymyślając różnego rodzaju nietypowe zajęcia i pseudo zabawy dla aresztantów, aby tylko podliznąć się i zadłwolić swojego zwierzchnika.



Żandarmieria „wielka” z lewej Oszkanade.

– Zachciało się wam nauki! – krzyczał żandarm Oszkanade, ciągnąc za ucho młodego żydowskiego chłopaka.

Wyprowadził go przed szereg, pozostałych dziewięciu kilkunastoletnich chłopców i przewrócił na kolana. Chłopak upadł tuż pod nogami Rapscha.

– Nie widzisz, że pan komendant ma brudne buty? – spytał.

Żyd nasunął szybko rękaw swojej kapoty na dłoń i zaczął je starannie polerować. Pozostali chłopcy stali w szeregu z opuszczonymi głowami, w poszarpanych, ubrudzonych zastygłą krwią, ubraniach. Już od kilku dni byli przetrzymywani w areszcie tylko o suchym chlebie i zatęchłej wodzie. Od kilku dni biei.

W pewnej chwili Rapsch kopnął chłopaka i odszedł na bok. Rozejrzał się dookoła.

– Za dużo tu wody. Ma być sucho na placu – zastanowił się – niech skaczą w kałużach, póki ich nie osuszą – wydał polecenie i odszedł, nie interesując się dalej tym, co się stanie.

– Słyszeliście pana komendanta? – powiedział żandarm Oszkanade do więźniów. – Zbiórka w tej kałuży – wskazał ręką na najbliższe zagłębienie z wodą. – Połowa tańczy i śpiewa, a druga połowa – padnij i czógać się w tę i z powrotem. Jak skończycie tutaj, to przejdziecie do następnej.

Rozejrzał się po Rynku.

– Ma tu być sucho! – dodał.

Niemiecka machina wojenna nabierała rozpędu. Kolejne terytoria, ludność i dobytek padały ofiarą terroru i grabieży. Różnirowcy potrzebowali coraz więcej wojskowego sprzętu, amunicji i materiałów do ich produkcji, bielizny i mundurów dla armii oraz żywności dla jej wykarmienia. Potrzebowali ludzi do pracy – taniej siły roboczej w zakładach przemysłowych, fabrykach zbrojeniowych, gospodarstwach i w polu. Setki tysięcy ludzi, głównie młodych, czasem dzieci, wywozili z zajętych terenów w głąb Rzeszy, jako robotników przymusowych.

Franek wstał wczesnie tego ranka. Ubrał się szybko i usiadł przed toaletką, wpatrując się w lustro.

– Co ty się dzisiaj tak sztafrujesz od rana? – Kasia spojrzała na brata, który czesał i przyklepywał odstające włosy poślinioną ręką.

– A co, nie wolno? – burknął pod nosem.

– No, dobra. Już się nic nie odzywam – ufała pogniwaną.

– A ty, co dzisiaj taka obrażalska? W ogóle to od kilku dni chodź bez jakas strupa.

– Nie twoja sprawa.

– No, co ty siostra! Nie będziemy się kłócić. Ide do Mileny. Przekazać coś Zenkowi!

– Miałam się z nią spotkać już kilka dni temu, ale nigdy nie miał czasu – spuściła z tonu.

– Bo robi chłopak od rana do nocy.

– W niedzielę też? – niemal krzyknęła. – I to nie tylko tą ostatnią. Już ponad miesiąc się nie widzieliśmy. Nie ma dla mnie czasu, to nie – dodała rozżalona i wybiegła z płaczem z pokoju.

Franek widział się ze swoją dziewczyną tylko chwilę. Umówił się z nią na wieczorny spacer i natychmiast pobiegł do mieszkającego niedaleko Pejgów rzeźnika, Edwarda Zatorskiego. Wszedł do budynku gospodarczego obok jego domu w chwili gdy rewizor mięsa, Niemiec, oglądał zabita świnię pod kątem jej przydatności do spożycia. Niemieckie prawo zezwalało na ubój domowy jednej sztuki trzody pod warunkiem zrzeczenia się kartek na mięso. Weterynarz rozłożył półtusze i starannie je badał. Nagle dojrzał dwa podobne kawałki mięsa.

– Rewelacja! Trzeba to gdzieś opisać – powiedział z uśmiechem. – Ta świnię miała dwa ogony.

Gospodarz spojrzał ze strachem na kontrolera, ale ten nie kontynuował tematu. Ostemplował mięso i dodał:

– Napijmy się po jednym. Trzeba zapić, żeby nie ożyła – ponownie się uśmiechnął. – Należy się 3 marki.

Zatorski natął sznapsa, podał 5 marek i przygotowany wcześniej owinięty w papier kawał mięsa. Niemiec schował pieniądze do kieszeni, wziął zawiniątko pod pachę i jednym haustem wypił zawartość szklanki. Przegryzł skórkę chleba i wyszedł.

– Ale miałem pietra – gospodarz spojrzał w stronę rzeźnika, który pomagał w uboju. – Kto wsadził tu ten drugi zadek? – spytał podenerwowany.

– Myślisz, że on nietutejszy, albo że to pierwszozna dla niego? – mężczyzna wstał i zaczął przekładać mięso do dużej balii, która

stała pod stołem. – Wiadomo, że przy jednym ognisku dwie pieczenie się piecze. Jakby nie przytknął oka, to by z głodu umarł – zażartował, zerkając w kierunku Franka.

– A, co dla ciebie? Tak jak zawsze?

– Tak jak zawsze – odpowiedział chłopak.

– Masz bańkę? Kisieczanki ci naleję – chłopak podał naczynie, zapłacił i już miał wychodzić, kiedy gospodarz przytrzymał go za ramię.

– Uważaj, Franek! Niemiec mówił, że mają „krew puszczać”.

– Dziękuję. Powiem w domu, żeby się nie kręcili po ulicach – odpowiedział na podaną żargonem wiadomość, że planowana jest łapanka.

Kiedy wracał do domu, na Rynek wjechały z trzech stron niemieckie samochody ciężarowe wypełnione żołnierzami. Obecni na placu mieszkańcy Żelowa, znaleźli się w pułapce. Uciekali w popłochu. Kryli się w bramach i sklepach. Franek nie namyślał się długo. Zaczął biec w kierunku domu, ale ulica Kilińskiego została już zablokowana. Pobiegł więc w przeciwnym kierunku. Przechodząc obok Arbeitsamtu, omal nie wpadł na wychodzących z budynku Fuchsa, zandarma Neumanna i Dolkego.

– Ha! Ha! – krzyknął Fuchs.

Franek, ani myślał się zatrzymać. Nie oglądał się nawet. Biegł co sił przed siebie. Słyszał tylko ciągle głośnie wołanie i kroki biegnących za nim osób. Kiedy dobiegł do kamienicy naprzeciw katolickiego kościoła, schował się za drewniane odrzwia otwartej do wewnątrz bramy. Przyciągnął je mocno do siebie, jakby chciał wcisnąć się w mur. W tej chwili usłyszał ścigających go ludzi.

– Szybciej, wbiegł tutaj – powiedział ktoś po polsku.

Kątem oka dostrzegł, jak trzech mężczyzn przebiegło obok niego i wbiegło na podwórko. W tym momencie zdecydował się nie czekać dłużej w niepewnej kryjówce. Wyskoczył i pobiegł dalej. Po chwili ponownie usłyszał niemieckie wezwanie do zatrzymania. Jednak tym razem padł strzał. Serce podeszło mu do

gardła, a w piersiach zaczynało brakować tchu. Czuł się jak zaszczute zwierzę, któremu instynkt podpowiada tylko jedno: „Uciekaj!”. Odruchowo skręcił w ulicę Wolności. Kiedy dobiegał do Wschodniej, ponownie padły strzały – jeden, drugi i kolejny. Obejrzał się za siebie dopiero za ulicą Krótką. Nikt już za nim nie podążał. On też nie był ranny. Zwolnił, bo opadł już sił, ale biegł dalej... w kierunku lasu. „Tam odpocznę” – pomyślał. „A potem, do babci – u niej przeczekać”.

Szylitowie

W 1941 roku okupanci nasilili politykę wysiedlania Żydów z Kraju Warty. Wyrzucali ich z domów. Umieszczali w zbiorowych punktach przesiedleń, a następnie segregowali na zdolnych do pracy, i na tych, którzy w ich mniemaniu byli niepotrzebni. Dzieci, osoby stare, chore i ułomne wywozili od razu. Silnych, młodych, zdrowych mężczyzn i kobiety kierowali do obozów pracy i do gett na terenie Generalnej Guberni.

W czerwcu w Żelowie rozpoczęły się kolejne łapanki i nadozienie w nocy. Pod pretekstem działań sanitarnych, dezynfekcji oraz utrzymania higieny, Niemcy nakazywali Żydom opuszczenie zajmowanych przez nich domów. Wszyscy wypędzeni musieli pozostawić cały swój dobytek. Mogli zabrać ze sobą jedynie ręcznik i mydło. Miejscem, w którym hitlerowcy zgrupowali najwięcej mieszkańców wyznania mojżeszowego była dawna fabryka Lewiego.

– Puk, puk – rozległo się stukanie do drzwi.

– A, kogo tam?... O tej porze?...

Adam Wejman wyszedł do korytarza, aby otworzyć zamknięte już na noc, drzwi. Z dworu powiało ciepłym powietrzem.

– Isiek Szylit! Skąd ty tutaj?

Przed drzwiami stał młody, przystojny mężczyzna.

- Panie Wejman, mogę wejść?

- No wejdź, ale zaraz godzina policyjna.

Stanęły w korytarzu i rozmawiali.

- Panie Wejman - zaczął błagalnie Żyd. - Ja do pana przyszedłem, bo pana znam. Dwa lata przecież pan mi wynajmował. - Panie Wejman... ja przyjechałem z Łodzi, bo wie pan, ja tam sklep mam. Właściwie to miałem, bo oni mi wszystko zabrali, a moją żonę podobno do Radomska, do getta wywieźli. Ja uciekłem. Przyjechałem do rodziców i do siostry, ale... panie Wejman oni podobno u Lewiego siedzą zamknięci, bo tam jakąś kwartanę przechodzą. Panie Wejman, ja nie mam gdzie iść, bo dom zaplombowany. Zaraz godzina policyjna, a my przecież sąsiadami od lat jesteśmy i... panie Wejman, ja pana proszę, żeby mnie pan przenocował, a jutro pójde do rodziców.

Gospodarz spojrzał na Żyda, jakby ten spadł z księżyca.

- Ty głupi, Żydzie? Czy ty myślisz, że oni tam na wyewczasach są? Czy może, że kąpać się poszli? Jak tam pójdziesz, to już po tobie. Ja ciebie dzisiaj przenocuję, jak będziesz chciał, to ci pomogę i przez granicę przeprowadzę. Papiery nowe dostaniesz. A jak nie, to uciekaj stąd jak najdalej.

Fabryka Lewiego stała się teraz także obozem przesiedleńczym, choć pracy przy naprawianiu i szyciu bielizny nie przerwano. W nieludzkich warunkach, prawie bez jedzenia i picia hitlerowcy przetrzymywali tam Żydów. Nie tylko zeliwskich, ale także tych z okolicznych miast, miasteczek i wsi. Transporty z ludźmi przyjeżdżały raz lub dwa razy w tygodniu. Segregacja trwała nieustannie. W miejsce wywiezionych, dowozili następnych. Spośród aresztowanych została wyznaczona mała grupa kilkunastu mężczyzn do pilnowania porządku. Przy załadunku ludzi w czasie wywozek i wyznaczaniu ludzi do pracy wspierali ich żydowscy policjanci. Niektórzy więźniowie próbowali uciekać, złapanych esesmani bili do nieprzytomności. Jednak wię-

szość poddała się z nadzieją przetrwania dzięki ślepo wykonywanym rozkazom.

- Kobiety, które ostatnio pracowały w kościele - wystąp! - powiedział dyżurny podczas codziennego, porannego apelu.

Fradla Szyłt, drobna dziewczyna o niebieskich oczach i jasnych włosach zrobiła krok do przodu. Dawid, którego jednym z zadań było pilnowanie grup przy pracy, podszedł do kolezanki znanej jeszcze z podwórkowych zabaw.

- Chcesz jeszcze tam iść? - kiwnęła głową na znak, że chce.

- Idźcie do pracy przy sortowaniu rzeczy w kościele - dodał dyżurny, zwracając się do pozostałych kobiet. - Przypominam, że ta, która będzie pracowała zbyt wolno lub nie wykona polecenia swiego przełożonego, poniesie karę.

Cały dobytek, po wygnanych z mieszkań Żydach, przewożony był między innymi do kościoła katolickiego i składany w miejsce ławek, których ogromny stos znajdował się teraz przed głównym ołtarzem. Serty porozrzucanych w nieładzie ubrań, walizek i przyborów codziennego użytku Żydówki sortowały i pakowały w paczki i skrzynie.

Grupa kobiet wyszła na ulicę Kiłińskiego, kiedy akurat podjechały ciężarówki. Zandarn prowadzący więźniarki, nakazał im zejść na bok i zaczekać. Stanęły przy murze wokół drewnianej, zdobionej w żelazne okucia, bramy wjazdowej przebiegającej przez środek budynku. Gestapo zablokowało ulicę. Otoczyli samochody ze wszystkich stron. Zrobiło się zamieszanie. Żydzi z „nowej dostawy” zeskakiwali z aut, lamentując głośno. Hitlerowcy pokrzykiwali i grozili bronią. Dzieci płakały, trzymając się matczynych spódnic. Dawid rozejrzał się wokół.

- Teraz, albo nigdy - pomyślał i nachylając się do ucha Fradli wyszeptał: - Idź powoli, jakby nic się nie stało. Wejdź do domu naprzeciwko i schowaj się pod schodami.